WACŁAW BERENT

ZMIERZCH WODZÓW



GEBETHNER i WOLFF

W. Panu
Janowi Michalskiemu
w najgłębszem poważani
W. Beren
14/IV 39

ZMIERZCH WODZÓW

OPOWIEŚCI BIOGRAFICZNE

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa
Nr. 14/1939

WACŁAW BERENT

ZMIERZCH WODZÓW

NAKŁAD GEBETHNERA i WOLFFA

WARSZAWA

I

Codnia wczesnem przedpołudniem konni żandarmi ustawiali się na ulicach, okalających Plac Saski. Na to pole Marsowe, ogrodzone barjerami w kozły, podążały z koszar oddziały defilowe, ustawiając się szerokim czworobokiem. Pustką świecił tymczasem środek wielkiego dziedzińca. Po tej arenie, starannie wysypanej piaskiem, uwijał się bereiter wielkiego księcia, zataczając jego arabem foremne ósemki, wyczyniając nim zwrotne wolty i doskoki, to znów osadzając konia w bezruch posągowy na mniemane przyjmowanie defilady przez księcia samego. Cyrk codzienny jeszcze się nie rozpoczął; powoli ściągała publika. Na odwachu 'pod Białym Orłem' (gdzie i dziś stoi odwach) uderzyła godzina dziesiąta. Jeszcze zegar wydzwonić jej nie zdążył, gdy od

ulicy Mazowieckiej zadudniała turkotliwa kibitka. Żółto-białym płomieniem powiał na zakręcie olbrzymi pióropusz nad pierogiem księcia.

— Bij zbór! — uderzył jak w bęben głos komendy na odwachu: impetem wielkim zagrali w tambury dobosze wszyscy. Pod ten łomot rytmiczny wpadły na plac trzy rysaki w orła, nad któremi zawisał kacap w tułubie pękatym; wstrzymała się kibitka. Wyskoczył z niej następca tronu rosyjskiego, 'wieliki kniaź' Konstanty Pawłowicz, naczelny wódz wojska polskiego. Pod „prezentuj broń!" komend oficerskich dał się słyszeć echowy odgłos karabinów, przyrzucanych do piersi żołnierskich — jeden, niepodzielny. Orkiestra główna w odwachu wszczęła jakowyś tusz powitalny, czy też marsz wielce uroczysty.

— Dość! — trzasło rozkazem: w pół tonu urwała kapela. Przyjąwszy meldunek od kogo tam należało, zwracał się w. książę do jeneralicji, jak zawsze, w języku francuskim; zagadywał zresztą przez ramię, dosiadając równocześnie konia. I rozpoczął objazd. W zaległej ciszy słychać było obrządkowe pozdrowienia jego i takież odpowiedzi oddziałów rosyjskich i polskich na prze-

miany: — 'Z d a r o w o r e b i a t a! Z d r a w i a ż e ł a j e m W a s z e...' lub też: — 'Jak się macie chłopcy? Zdrowia życzymy Waszej Cesarzewiczowskiej Mości!'

Wystawił się w. książę na koniu pośrodku placu i wzniósł dłoń w rękawiczce białej. Rozległ się natychmiast z pod odwachu czyjś głos tubalny: — 'Panowie oficerowie i podoficerowie przez środek... marsz!' Rewja codzienna rozpoczynała się od przeglądu szarż, a raczej nienagannego wyglądu ich mundurów paradnych i prezentacji marsowej. — 'Panowie oficerowie i podoficerowie na miejsca... marsz!' — W wachlarz a truchtem rozbiegli się na czoła swych oddziałów, by tam skomenderować od siebie: — 'Rachuj się!' Co drugi z szeregowców występuje pół krokiem naprzód; poruszając głowami na sprężynach, rachują się żołnierze. Ich chór, skandowany na tonach niskich, brzmi jak ponowne bicie w bębny. Teraz dopiero wyskoczy konno z pod odwachu komendant placu i huknie jak w tubę: — 'Cała parada do defilady! Krok podwójny! Plu-to-na-mi... marsz! marsz!'

Trwało to długo. Któż nie zna i dziś

Paradeschrittu drylu pruskiego? Ówczesne wojsko polskie przewyższało w marszu i tych bocianich kroków kunsztowność, podrzucało bowiem jeszcze wyżej nogi, jak trzeba niezgięte, a obute w kamasze poza kolana. Czynił to żołnierz przy doskonale znieruchomiałym tułowiu w swych stąpań powadze indyczej.

Linje zaś nóg, piersi i głów żołnierskich, pióropuszów i bagnetów nad niemi, wyrównane 'pod strych', nie powinny były — Boże uchroń! — załamać się w szeregach choćby na moment. Gdy się jednak przytrafiło na paradzie nieszczęście takie, wszczynało się piekło, w którem tracili głowę jenerałowie wszyscy. W. Książę wpadał w szał gniewu: oficera nieszczęsnego oddziału karcił stekiem przekleństw rosyjskich a niekiedy i kuksańcem z konia; bezpośredniego zaś sprawcę całego zamętu kazał wywlekać z szeregów, jak tym oprycznikom, kapralom oddziałów rosyjskich, by go powiedli na odwach. Przechowywano tam, jak zresztą i po pułkach, całe wiązki prętów: istne fasces, czyli wiązki liktorskie. Niebawem zagrzmiały u odwachu kotły: bito w te bębny miedziane na kozłach rytmem powolnym

w tonacji dziwnie głuchej i pełnej ponurości dla podkreślenia razów i jęków kaźni.

Stękiem w piersiach jak pod młócką odzywały się one werble w pognębionym tłumie tego chłopstwa w mundurach. Tak pożądane przez rosyjskich doradców w. księcia 'wychowawcze u n y ń- j e kary cielesnej' osiągało swoje i śród tych byłych obywateli-żołnierzy Rewolucji Wielkiej z pod sztandarów Dąbrowskiego.

W takiej to 'cichości aktorów i widzów odprawiano codziennie coś nakształt baletu w tysiąc ludzi' — wypowie się ówczesny prezes senatu. Dosadniej scharakteryzował to któryś z jenerałów polskich onej doby: 'Machina poruszająca temi marjonetkami doszła do precyzji sprawniejszej od chronometru'. — Głęboko interesowali się tem wojskiem precyzyjnem nie byle jacy z przejezdnych cudzoziemców, bo ks. Wellington, marszałek Marmont, dalej następca tronu pruskiego a przyszły Wilhelm I: zgoła najświetniejsi przedstawiciele wojskowości ówczesnej.

'Dziwią się obcy, bo podobne dzieło
Innym mocarstwom pół wieku zajęło,
Ty przez łat kilka...'

— opiewał dzieło Konstantego poeta Molski. Ta trąba rymów patrjotycznych na każdego z kolejnych władców kraju obwieszczała tym razem za całą gawiedź stołeczną jej codzienne zachwycenia na widok tylu jenerałów i sztabsoficerów w świetnych, błyszczących od złota i srebra mundurach, tych bogatych szlif, kordonów i akselbantów, tych pióropuszów, powiewających jak fale na kapeluszach.

Z innem uczuciem przyglądał się poeta drugi tym codziennym wystawom pawi i indorów. Ów bywalec po świecie wiedział, że temi czasy mustrują się tak po placach Europy całej wojska narodów wszystkich:

’w tym wieku, w szalonym kapralstwa zapale’

— zżymał się Niemcewicz na ducha czasów swoich.

Skończyła się tymczasem na placu parada oddziałów piechotnych, następowało meldowanie się

konnych posyłek, czyli sztafet od pułków. Rzecz główna polegała tu na najzręczniejszej wolcie w doskoku i na błyskawicznem osadzeniu konia przy równoczesnem salutowaniu szablą ostrą: sztuka iście cyrkowa, dokonywana przez najbardziej karkołomnych jeźdźców, silących się przytem 'na grację i jakowąś minkę baletową', -- powiada któryś z świadków naocznych. Owa minka widzi się maszkarą czasów na twarzach byłych bohaterów legjonowych.

Po odprawie owych posyłek cesarzewicz, udając trębacza, przykładał kułak do ust. Ten zew niemy sprawiał, że od oddziału konnicy, ustawionego pod Ogrodem Saskim, odrywało się kłusem trębaczy czterech -- białoramiennych od centkowanych rękawów mundura. I uderzała na miasto ich fanfara echowa.

Czyżby to była stara piosnka legjonów? Coś podobnego w każdym razie, coś na niby (jak tyle małych i wielkich spraw onej doby): rzekłbyś, mazurek legjonowy przefasonowany na galopadę petersburskiego smaku. Decydował o tem fantazyjnie wielki książę sam, zmieniając dowolnie takty i tempa muzyki każdej przez ich odbijanie na

swem udzie. Rzeczą kapelmistrzów było natychmiastowe podchwytywanie muzykalnych intencyj cesarzewicza.

Poniosło tę fanfarę ułańską w Ogród Saski i rozegrało echem na owym pagórku, gdzie stanie z czasem jakowaś budowla stylu greckiego, świątynia Sybilli, — twierdzi się mylnie i dziś, za tradycją puławską zresztą. Romantyka pseudoklasycznego gustu, który bóstwami antycznemi zaludniał ogrody i nadawał nazwy sentymentalne ustroniom parkowym, obwołała ten zakątek opodal Alei Marzeń — smętarzem, choć grobów tam nie było żadnych, a tylko czarne pod wieczór topole i jodły imitowały cyprysy cmentarne. Jakoż było to w Warszawie przez długie lata złe miejsce, kędy ciągnęło urocznie rozpacz ludzką, a nadewszystko sponiewierany honor oficerów polskich, gdy którego z nich zelżył na Placu carewicz sam. Od broni przeciw sobie zwróconej polegnie tu młodzież najszlachetniejsza, o ile nie wda się ona w spiski i nie zmarnieje po lochach — wróżyły Sybille.

Pod tę pobudkę na Placu pluton przykraca cu-

gle, niczem do szaleńczej wnet szarży na armaty, jak przed laty niespełna dziesięciu na działa Somosierry. A że ów oddział paradny składał się po części z tychże jeszcze bohaterów, więc cały szwadron ułański wypysznia się w siodłach chwałą swego pułku, zanim na głos komendy nie rzuci się w popisu cwał krótki — pod to nagłe zafurkotanie proporczyków u lanc. Rzekłbyś, ptactwa chmara zerwała się równocześnie w lot. A człek w człeka, koń w konia wyczyniają zwrot, każdy w tak przedziwnej zgodności ruchu i rytmu, jak gdyby po placu toczył koniem jeździec jeden, zwielokrotniony w zwierciadłach bez liku: w oczach grają tylko kolory ułańskie i śmiga nad niemi oficerskich szabel stal biała.

A gdy te cwały tam, sam i w nowe znów zagony imitować jęły uganianie się za pobitym już wrogiem pod gwałtowny zryw żołnierskiego 'hurra!' — głównodowodzący tej niby-bitwy stanął w strzemionach. I rozdęły mu się nozdrza na twarzy 'beznosej', właśnie jak te chrapy a r a b a pod nim. Koń o żyłach nerwowych ledwie mu ustoi w cuglach; rży i parska jak źrebiec stepowy, a galopkiem menażowym już się po placu za-

ganiać nie daje. Zwierzę ambitne wzięło na kieł, a choć długą szyję boleśnie teraz pod kiełznem skręca i pieni się z pyska, wyrywa przecież: chce mieć pana swego na czele tego wojska, skoro porwało się ono w bój.

Przed nagłym znów zwrotem konnicy, w ostatnim zaledwie momencie zdołał w. książę odszarpnąć konia na uskok. I osadzić go, a ukoić rozdygotaną dumę swego przyjaciela: oklepać, ugłaskać jego szyję rozżaloną. Delektując się tyleż koniem wiernym, co brawurowemi wciąż harcami szwoleżerów, okrzyknął się znagła na plac cały:

— 'Brawo chłopcy!'

W jakiejż to muzyki takty przebrzmiałe rozpląsała się tak ochoczo kawalerja narodowa? W. książę przestał przefasonowywać sobie tę melodję na galopadę petersburską i wygwizduje teraz właściwą nutę mazurka. A gdy się nią rozochocił, odbija ją sobie znów na udzie. Czyni to — jak wszystko — tak zapalczywie, z taką wraz zaciekłością, że mógł zaniepokoić jenerałów ze świty: ukontentowanież to nadal tak wielkie? czy zapowiedź nowej znów burzy gniewu?

W. książę był więcej niż rad, bo szczęśliwy

w tej chwili. Zeskoczywszy z konia na znak zakończenia rewji, ściskał pierwszych z brzegu oficerów, poklepywał po ramieniu szeregowców, obiecując im po rublu na głowę. A gdy któryś z pułkowników wysztywniał się przed nim coś nazbyt chłodno, cesarzewicz odgadł w nim dąs zatajony i wycałował go z dubeltówki, przepraszając tak przed frontem za jakoweś zdespektowanie wczorajsze.

— 'Bywam szalony, ale w gruncie mam dobre serce': — całą naiwność tego wynurzenia nie zawaha się za lat kilka wygłosić w sejmie. (Każe bowiem wybrać siebie posłem na sejm).

Tymczasem uszczęśliwiają go rewje udatne. 'Prześcignęliście wszystkie nadzieje i oczekiwania moje', — ogłosi dziś w rozkazie dziennym. Na razie wycofuje się po rewji do pałacu Brühlowskiego pobok, gdzie przyjmować będzie długo jeszcze 'posyłki' od pułków piechoty garnizonu warszawskiego. Po g r z e wojennej na placu wszczynały się na pokojach kameralne już igraszki: istna zabawa w żołnierzy blaszanych.

Uporawszy się i z tem, mógł się wreszcie wycofać wraz ze świtą na pokoje dalsze. I ściągnąć wreszcie z siebie te biało-jelonkowe spodnie, obciskające mu nad wytrzymałość ludzką biodra, w tej chwili jakby puchniejące w oczach, i spęczniały brzuch. Odsapnął, dumny z swej wytrzymałości doskonałego kaprala, i w dobrym wciąż humorze z powodu rewji udatnej pokazywał swe udo poodbijane oficerom, 'chętnym oglądania jego gołej, a tak własnoręcznie posiniaczonej c u i s s e' — powiada któryś z tych oficerów.

Ci panowie ze świty, pochyleni w służalczej kontemplacji nad obnażoną c u i s s e, łącznie z takąż f e s s e naczelnego wodza, dają obrzydliwie wymowny obraz serwilizmu wobec Nowych Panów.

Nie po raz pierwszy zresztą odmieniła się ta starszyzna wojska Konstantowego. Pomieniała ona wszakże za cesarstwa Napoleona frygijskie czapki swej młodości na te mundury okapujące od złota i srebra, na te bogate szlify, kordony, akselbanty. Pyszni w tym stroju przed publiką cywilistów, ci panowie jenerałowie i sztabsoficery drżeli za Konstantego na myśl o szpiegu - cywi-

lu, którego ani oko nie odróżni w tłumie, ani ucho nie usłyszy za sobą. Jakże ukryć się przed takim cieniem w niewidymce? Pilnem baczeniem na każde swe słowo. Ukrywali oni tedy i niedawną chwałę swą wojenną przy stolikach karcianych — niemych dla ostrożności.

Nie tchnęło odeń na Warszawę bynajmniej obczyzną niepojętą. W nazbyt świeżej pamięci miano tylu sampanów i samodurów z wschodnich kresów Rzplitej niedawnej. W nieobliczalnych zawsze występach carewicza musiano wyczuwać pokrewne cechy temperamentu i porywczości Jaśnie Księcia, któremu wolno wszystko. Imponowało to po staremu szarakom, w gruncie równie anarchicznym. To wschodnie źródło popularności nie wyschło bynajmniej. A sobiepańskie gesty Konstantego oddziaływały żywo na wyobraźnie polskie:

Przyjmie raz carewicz osłupiające wyzwanie na pojedynek przez któregoś z tych zelżonych przez

niego desperatów z pośród oficerów polskich. I wyznaczy świadków swoich. A przez nich każe sprowadzić do Belwederu osobliwego adwersarza wraz z jego sekundantami. Można sobie łatwo wyobrazić, jak w tym przypływie fantazyjnego człekolubia śmiał się carewicz, klepiąc po ramieniu najosobliwszego z podkomendnych, który od naczelnego wodza żąda satysfakcji z bronią w ręku: — Chcesz się ze mną strzelać? Dobrze. Ale na Boga, nie strzelajcież sobie w te głowy szalone sami!

Bardziej osłupiające będzie dobrowolne znów zetknięcie się Jego Cesarzewiczowskiej Mości z adwersarzem, niezadługo już dziejowym: z Łukasińskim. Każe go sprowadzić o nader wczesnej godzinie, nieledwie ze świtem, jakby dla zatajenia przed otoczeniem belwederskim, z jakim to osobnikiem styka się osobiście. Świadkiem — jedynym tym razem — był 'pełniący obowiązki' ministra wojny, jen. Hauke. Oto tkwi przy drzwiach, jak lokaj sprężony w strunę, z szyją twardą i skisłym wyrazem na twarzy gołej: — 'Stał jak ta żona Lota, zamieniona w słup soli', — zapisze Łukasiński.

Ten pojedynek moralny trwał krótko. Sądząc z wzburzenia w. księcia, mógł był oczekiwać Hauke rozpętania się jego furji z chwilą wprowadzenia delikwenta. Tymczasem nieobliczalną wrażliwość carewicza uderzyło bezdennie prawe, dziecięce niemal wejrzenie błękitnych oczu tego zbrodniarza stanu. I zmyliło mu gniew: zgoła inaczej wyobrażał sobie tych ludzi z podziemia. Resztę dopełniło zastanowienie chmurne: Tak poczciwie, pomyślał, spogląda widać zawsze najbardziej uparta i niebezpieczna głupota doktrynerów. Szkoda tu zabiegów dla wymuszenia zeń jakichkolwiek zeznań, bo gotowe to rozpętać tylko jego wymowę patrjotyczną. Więc rzucił mu wzgardliwie na stół wszystkie swe karty i atuty. Pokazał mu nietylko liczne nań donosy policji tajnej, lecz i wnioski, do jakich doszło wstępne dochodzenie śledcze: że on to właśnie. Łukasiński, jest główną sprężyną i kierownikiem wszystkich knowań.

Zwracał się doń zresztą w języku francuskim.

Toż mógłby go poprostu usunąć z życia: na sposób austrjacki zamknąć go tak w kazamatach, żeby go oczy ludzkie nigdy już nie ujrzały. Nie

uczyni tego, mierzi go bowiem, jak i cesarza, zamykanie do paki (coffrer) ludzi nieprzekonanych sądownie o winie. Do sądu zaś i do rozgłoszenia całej sprawy dopuścić nie chce. Więc żąda odeń tylko słowa honoru, że zaniecha on swej działalności tajnej w wojsku. Nie kieruje się w tem żadnemi względami pobłażania — zatrzymał na nim wejrzenie pełne pogardy, — lecz tem jedynie, by nie doszło do Petersburga, że w wojsku polskiem zatliło się zarzewie buntu — i to właśnie w umiłowanym przez carewicza pułku czwartym! Wchodzi tu w grę udzielność a może nawet i dalsze istnienie wojska polskiego. Jest przecie tego wojska oficerem. Dążyż do jego zatraty? Gdzież honor i sumienie?! — Wbijał w niego swe oczy kose, żółte niemal w tej chwili od tłumionej w sobie pasji. A kułak jego zaciskał się równocześnie na onym pliku akt śledczych.

Słowa cesarzewicza były pełne łaski, ale sama natura jego wypowiadała się i w tej chwili złowróżbnie. Oszołomiony major czwartaków czuł się prawdziwie jak pod żółtem spojrzeniem rysia, w którego pazury prędzej czy później wpaść musi. A wbrew temu jasnowidztwu ogarnęła go

niedorzeczna korność, którą ledwie w sobie powściągnął. (Tak zbuntowany niegdyś szarak zwalał się w chwilach skruchy do buta kresowego magnata).

I zapisze to najrzetelniej:

— 'Wspaniałomyślność, z jaką obszedł się ze mną w. książę, tak mnie wzruszyła, że chciałem rzucić mu się do nóg i wszystko wyjawić'.

Urwijmy. Nie o Łukasińskiego tu idzie, lecz o Konstantego.

Nie obcym nawzajem poczuje się niezadługo w Polsce i on sam. Mord popełniony przez kamarillę dworską na czczonym przezeń ojcu, carze Pawle, sprawił, że znienawidził jakoby wszystkich Moskali; to pewna, że w głębi duszy nie cierpiał Petersburga. — 'Jakżem szczęśliwy, żem znów w Warszawie!' — radował się za każdym powrotem. Do Polaków żywił niegdyś pogardliwość: okazał ją nader wyniośle legjonistom wziętym do niewoli pod Trebią. W Aleksandrowej Warszawie przywiąże się do maltretowanej przez siebie i szpiegowanej społeczności polskiej uczuciem

rzecby perwersyjnem. Uczyni to bowiem w stopniu przewyższającym jego późniejsze rachuby polityczne rzecz wygóruje w nim nad kalkulacje wszelkie, sięgnie jego serca, w zawieruchę afektów nieustannie burzliwych, odmieni mu uczucia dawne.

Pod usilnem zdawna naleganiem oficerów polskich skasuje wreszcie karę chłosty — w wojsku polskiem jedynie: kije aplikować będzie odtąd z satysfakcją złośliwą już tylko w regimentach rosyjskich. Wróg oświecenia ludu, wprowadzi Petersburgowi naprzekór obowiązkowe nauczanie szeregowców — w pułkach polskich wyłącznie. Gdy batożone nadal sołdaty pod tem wychowawczem unyńjem wyciągały co wieczór swe pieśni zaunywne, tąże porą przedwieczorną 'nasi chłopcy kumkali jak żaby głoski swych abecadeł żołnierskich'. Nie tyle odrębność umundurowania odróżniać będzie w końcu obie formacje, ile odmienna postawa, swój obyczaj, inna schludność, zgoła inny rezon i duch żołnierza. Do utrzymania tej odrębności, ba! do jej wypielęgnowania przyczynił się znakomicie sam w. książę.

Otrzymawszy od Aleksandra naczelne do-

wództwo i nad litewskiem wojskiem, upodobni przedewszystkiem jego umundurowanie do polskiego — za symboliczną nić łączności obu krajów i władztwa nad niemi. Po śmierci Aleksandra rozpęta z Mikołajem jawny już zatarg o Litwę, tylokrotnie przyobiecywaną Polakom, a więc i jemu, — wnioskował teraz Konstanty.

W roku 1822 zanosiło się już na późniejszą o lat kilka wojnę rosyjsko-turecką. W Petersburgu układano plany wysłania na spodziewaną kampanję także i wojska polskiego. Konstanty sprzeciwił się gwałtownie zamierzonemu, 'połączeniu obu wojsk bratnich', domyślając się może, jakie to dalsze intencje Petersburga ukrywają się w tych planach zbratania. I odmówi wręcz (jak to zresztą uczyni i za lat kilka w obliczu wojny wszczętej). Równocześnie dopominano się w Warszawie o nową kadencję sejmową. Dla tychże, co uprzednio, powodów stał się autokrata rosyjski rzecznikiem parlamentaryzmu polskiego— jakże niespodzianie gorliwym:

— 'Będziemy radzili o dobru ojczyzny, — przemówi jako poseł w sejmie — ojczyzny, mówię, gdyż po tylu latach nabyłem do niej praw'.

(Taką poprawnością swej mowy polskiej chlubił się: — 'Sam Niemcewicz ją chwali' — powiadał).

Innym razem okrzyknie się szlachcie:

— 'Jakem długi, takem wasz!'

Lecz jakąż to ceną okupić on musiał te złudne nadzieje na udzielne swe carstwo polsko-litewskie? I pokwitować bardziej doraźne zdobycze: rozwód z księżniczką niemiecką oraz przyzwolenie cara na nowe małżeństwo z pasierbicą marszałka dworu na Zamku warszawskim: z panną Grudzińską? — Półtora roku ponoć wydławiano z niego deklarację dobrowolnego zrzeczenia się sukcesji rosyjskiej. Raz po raz podsuwano mu do podpisu ową g r a m o t ę wielce uroczystą, a tak nieprawdopodobnej treści, że za każdym razem opadało mu ramię. Wreszcie położył swe imię pod taką oto sromotą, wypisaną mu w Petersburgu:

— 'Nie mam ani rozumu, ani zdolności, ani sił do sprawowania władzy najwyższej w Rosji'.

Tak wieczystem poniżeniem siebie zdobył ukochaną kobietę. Dla tej 'Żańsi' swej zrzekł się tronu Wszechrosji, która w onych czasach ponapoleońskich widziała się Europie całej niepokonaną potęgą, a ziemią wielką jak ocean. Będzie łudził się wzamian nadzieją na koronę polską wraz z litewską. Tymczasem rosyjskie morze ludów skurczyło się dlań już nie do małości Królestwa Kongresowego, lecz do małostkowości stosunków warszawskich: do codziennych rewij na Placu, do komenderowania strażą ogniową przy każdej okazji pożaru na mieście, do zaprowadzenia ładu na targowiskach i brania w karby przekupek na rynku. Na to zeszło dziedzicowi najpotężniejszego tronu.

Skłonności samodzierżcy, ku jakim wychowany był od dziecka, kazały mu narzucać nierządności polskiej ład i skład we wszystkich dziedzinach życia. Gdy ktoś odważny ośmielił się zapytać go, czemu tak osobiście utrudzać się raczy mustrowaniem ciągłem a zarazem wglądaniem w najbłahsze sprawy administracji wojskowej i cywilnej, w. książę schmurzył się i odparł z naciskiem na każde słowo: — 'W rządzeniu nie ma spraw błahych, a w wojsku wszystko jest ważne'. — I za-

kończył pokazaniem kułaka: — 'Ja Polaków wreszcie nauczę porządku i posłuchu!'

Jakoż nauczał istotnie.

Specyficznie rosyjskiej złośliwości było wiele w tem zaskakiwaniu ulic, koszar i urzędów, zwłaszcza że władza, spadająca jak jastrząb, tarmosiła swe ofiary na chybił-trafił. Nie o winnych szło tu bowiem, lecz o Konstantynowską metodę zastraszania na wszystkie strony: — rygor!

Na złowróżbny turkot kibitki w. księcia przechodnie chowali się co tchu po bramach; czynili to zwłaszcza wojskowi, urzędnicy, studenci i żydzi, podczas gdy przekupki uliczne pierzchały co tchu.

A przedsię nie wścibstwo pedanta, lecz pobudliwa ruchliwość jego energji i woli kazała mu wglądać we wszystko, by z równą wszędzie pasją porządkować, komenderować, dowodzić. Całe życie Warszawy było dlań nieustającą rewją.

Krótko trwała w Królestwie idylla łask Aleksandrowych: już po latach pięciu

— *'Zląkł się własnego dzieła mocarz zagniewany,*
Rzucił żelaznem berłem w zakon nam dany
I potoczył go w prochy'.

(Te słowa 'malujące' o posmaku antycznym pochodzą z rękopiśmiennego pokłosia klasycyzmu warszawskiego).

Niebawem potoczyć się miały w prochy także i złudne nadzieje Konstantego. Zaczęło się to szumnie od nadania mu przez Aleksandra władzy dyktatorskiej i carte blanche na samowładne rządzenie Królestwem, a skończyło się żałośnie ruiną wszystkich jego widoków i obliczań

zawodnych. Ledwie Mikołaj wstąpi na tron, odstąpiony mu przez Konstantego, skreśli na zawsze jego aspiracje na przyłączenie Litwy do Królestwa. Spiski coraz to częściej ujawniane w wojsku polskiem podkopią ponadto cały autorytet w. księcia w Petersburgu: niedawny bunt Dekabrystów czynił Mikołaja szczególnie wrażliwym i zaciętym w tej sprawie. Za jego to wpływem z oddali nad władzę carewicza w Warszawie wysuwać się poczęli coraz to zuchwalej nasłani mu już dawniej z Petersburga doradcy, z Nowosilcowem na czele. W miarę pozornego utwierdzania się dyktatury istotna władza wymykała mu się powoli w ręce głównych organizatorów i szefów policji tajnej. Nie rzadki to w dziejach koniec autokratyzmu.

Carte blanche zapisze się w historji naszej najczarniejszemi dokumentami prześladowań, nie obcych zresztą wtedy i narodom europejskim pod własnemi rządami. Jak tyle innych, i ta fala brudna uderzała tyleż z Austrji Metternichowskiej, co z Francji ponapoleońskiej; wezbrała tylko u nas zdumiewającą we wszystkich sferach pochopnością do tropienia ludzi. Wiedział doświadczony Nowosilcow, że praca zarobkowa by-

ła u nas w zadawnionej pogardzie i że nie brakło natomiast w Polsce zgranych wykolejeńców, nie mających nic do stracenia, a nie gorzej wypolerowanych między ludźmi od najprzebieglejszych spryciarzy po świecie. Jakoż z przedziwną szybkością rozpleniło się w Królestwie szpiegostwo, zalęgłe z posiewu rosyjskiego ducha (Rzeczpospolita dawna nie znała instytucji podobnej).

Warszawa stała się Eldoradem dystyngowanych konfidentów policyjnych po salonach, rojowiskiem tajnych agentów po kościołach, szkołach, teatrach, restauracjach, kawiarniach, szynkach i bordelach, wreszcie wygonem głodnej sfory szpiclów ulicznych, śród których nie brak było legjonistów-inwalidów i uczniów ze szkół.

Te macki polipie władzy, sięgającej wszędy, wydławiały z wojska i ludności obfity żer donosicielstwa i zdrad wzajemnych. Przepełniało się więzienie u Karmelitów.

Odmieniać się też jęło i oblicze Warszawy. Przestano patrzeć ludziom w oczy otwartem wejrzeniem ludzi zachodnich. Kto nie spiskował, zamykał się w skorupie sobkostwa lub w twardszej

jeszcze małżowinie biurokratyzmu, spoglądając na innych nieufnym, kosym zezem ze Wschodu.

Ku przerażeniu i zgrozie całego kraju wszczęto — 'bez sądu, mocą tylko rozkazów tajemnych'— zsyłki administracyjne do karnego obozu w kazamatach Zamościa, gdzie otwierały się wrota ówczesnemu okrucieństwu. Cuchnęło tam nie krwią tylko, lecz dziechciowym zaduchem obczyzny rosyjskiej, rozkiełzanej do znęcania się nad nienawistną polskością tych krajowych katorżników. W poniewieraniu ich ciał bezbronnych usiłowano tam tratować jakby i plugawić samego człowieczeństwa imię i godność. A przecie i w tem nawet współdziałało Polaków niemało. Sadyzm był dotychczas potwornością obcą naogół skłonnościom polskim.

Nie tyle cel swój — porządku, posłuchu i rygoru — narzuci Konstanty ludności, co sposoby, chwyty i oddziaływania wykonawców swej władzy. Nauczą się Polacy przebiegłości od systemu rządów nad nimi. I przechytrzą wkońcu w. księcia nie gorzej od Mikołaja. Jednym z czołowych spiskowców w wojsku okaże się ku ostatecznemu przerażeniu carewicza jego najbardziej umiłowany

adjutant, poufnik i faworyt, który czarował go w rozmowach 'genjalnością' dowcipu salonowego.

Straci zczasem w. książę wiarę w cały ten aparat wywiadowczo śledczy, który wybujał nad wszystkie środki rządzenia krajem. Zrozumie, że spiskowiec nauczył się ukrywać tuż za plecami władzy, wpadać stopą w jej ślady: że staje się niewidzialny i nieuchwytny jak sam 'duch czasów'. Podobny pesymizm ogarnie niezadługo i europejskiego arcytwórcę tego systemu, Metternicha, tylko że Konstanty wziął to do serca urocznym fatalizmem rosyjskim, który będzie mu wręcz paraliżował wolę. — Przejeżdżając raz koło koszar któregoś tam pułku rosyjskiego, każe zatrzymać kibitkę, zamyśli się na długo i westchnie: — 'Moje przeznaczenie dopełnić się tu musi, żal mi tylko życia tylu tych ludzi naszych'.

'Mops beznosy' szpetniał temi czasy odrażająco. Z pod łysej już wtedy czaszki jego przy koźlem zawsze pochyleniu głowy widać było tylko 'policzki o barwie zepsutego mięsa w ramie baczków rudych i brwi całkiem białych'.

Wizerunek to upiorny z klątwą śmierci na obliczu znienawidzonem już wtedy powszechnie. Ta-

kim widziano go w czasach bezpośrednio przedpowstaniowych. Nocą listopadową zaskoczono w Belwederze człowieka zrezygnowanego o strawionej już woli.

Zmarł niezadługo (w roku 31) jako naczelny dowódca rezerwy rosyjskiej na jej dalekich tyłach litewskich. Przyczyną tej śmierci nagłej była cholera, r z e k o m o. W Petersburgu nienawidzono go również; tam jako odszczepieńca Rusi Świętej i prawosławia, który 'opolaczył się' do cna. W zamęcie czasu wojennego nie ufano mu tembardziej: — wszakże to przed sześciu laty zaledwie pod bunt Dekabrystów okrzykiwały się tłumy na cześć prawego cara Konstantego Pawłowicza.

Ni carem ni królem zeszedł ze świata. W Warszawie bowiem przegrał sprawę polską nietylko z Mikołajem, lecz i z Polakami. Metodami sprawowania swej władzy nad nimi — przez szpiegostwo, gwałty, rosyjskie znieprawianie sumień— odwrócił cel zamierzony naopak: wzmógł ostateczny odpór w wojsku i ludności, przyśpieszając tylko wybuch Powstania.

Nieustanna w nim rozterka między poczuciem ładu i rządności, a samowolą i okrucieństwem, targanie się ustawiczne między duchem Wschodu i Zachodu, uczyniły go... 'jednym z najdziwniejszych, najoryginalniejszych ludzi, o których kiedykolwiek historja powiada'.

To ostatnie świadectwo wystawia mu niespodzianie, a wbrew sobie poniekąd, największy wróg jego pozgonny, Mochnacki.

I jeszcze jedno: ten okrutnik miał dobre serce. A wierzył w to nietylko sam, 'zgadzają się na to wszyscy, którzy go bliżej znali'.

Nasza poezja romantyczna upamiętni go w sposób wielce fantazyjny.

Młody romantyzm na emigracji będzie w tych sprawach dosiadał najczarniejszego Pegaza, by 'w rozhuku piorunów i w deszczu szatanów' przenosić się manfredycznie ze szczytu Montblanc na walpurgje i sabaty Nowosilcowowe w Warszawie lub Wilnie. Zaciąży to wieszczenie

tak dalece nad wyobraźnią pokoleń kilku, że historja musiała tu niemal złożyć broń, przynajmniej na czas dłuższy. Wspominki tamtoczesne, przedstawiające Konstantego w mniej fantastycznem świetle, ogłaszać poczną synowie a nawet wnuki pamiętnikarzy w sześćdziesiątych dopiero latach ubiegłego wieku.

Tak późno — podobne głosy bywają zawsze nieprędkie — opowiedzą się w obronie Konstantego ludzie o widnokręgu pojęć nie zmroczonym nienawiścią. Czuć w ich słowach przekorny chłód rozwagi, ale jest w nich też i echo, niewygubnego mimo Powstania, lojalizmu z Placu Saskiego. Niejeden wyczuje w tem wreszcie pia desideria konserwatyzmu naszego, wystawiane jako cel rzekomo osiągnięty przez władzę nad nami obcą.

Nad wszystkie te głosy wybija się zaskakująca ocena całej działalności Konstantego przez dwóch aż naczelnych dowódców armji powstańczej:

— 'Takiego organizatora z silną wolą i niezmordowanego w pracy nieprędko znajdzie Polska. Nikt jeszcze do zupełnego porządku nie doprowadził Polaka, a w. książę tego dokonał'...

—'Wojsko polskie okazało w wojnie 31 r. dzielność i wytrzymałość nad wszystkie poprzednie. Polacy nie zdobyliby się pod własnym rządem nigdy(!) na takie wysiłki, jakie wydobyć z nich potrafił Konstanty'.

(Panowie ci przeoczyli w swym lojalizmie r e t r o cały dorobek moralny żołnierza z heroicznego okresu wojen Napoleońskich wraz z tyloletnią dzielnością legjonów w szkole wytrzymałości Dąbrowskiego. Ale mniejsza o to).

Ujęła się za Konstantym i legenda, która w ocenie wroga zdobywać się potrafi na nie mniejszą rycerskość od ludzi walki orężnej. Po latach znów potwierdzili częściowo tę legendę, jako zdarzenie prawdziwe, sztabowcy rosyjscy, świadkowie naoczni takiej oto sceny wojennej:

Pod Grochowem to bodaj na czele sztabu armji Dybicza obserwował w. książę z siodła atak konnicy polskiej na dymiące armaty rosyjskie. Pod ich rozhuki pobliskie, zapatrzony przez lunetę w daleką kipiel rozgorzałego boju, poczyna nagle trzepać się w udo i gwizdać nutę mazurka Dąbrowskiego. Nie trwało to minut kilku, gdy ku

osłupieniu sztabowców rosyjskich okrzyknie się nagle po polsku: — 'Brawo, chłopcy!' I wraz jeszcze zachwytliwiej: — 'Brawo, dzieci!' — Lecz w tejże chwili musiał wraz z onymi sztabowcami umykać co koń wyskoczy przed nie powstrzymanym nawet u armat zdobytych impetem tych swoich dzieci.

Może już tylko a r a b jego wierny i oną jeszcze chwilą rwał się pod kiełznem — w tamtą stronę.

Nie rodząca się za Królestwa na wiek potem cały samowola przemocy rosyjskiej przepełniała Niemcewicza troską największą. Trwożyło go bardziej instynktowne wyczucie, że w tym właśnie okresie dziejowym wykraczała Polska z drogi cywilizacji zachodniej. (Temi słowy zwierzał się poeta przyjaciołom z swych przeczuć złowróżbnych). On to — powie o Konstantym — 'w s z c z e p i ł M o s k a l a w d u s z e P o l a k ó w'.

Niezadługo w Paryżu śród potępieńczych swarów patrjotyzmu emigracyjnego przerazi się Słowacki:

— 'Strach, ile u nas już duchów ruskich!'

To jedynie było trwalszym wkładem Konstantego, nie w dzieje nasze, lecz w psychikę polską. Resztę zmiotły czasy.

II

W początkowym okresie łask Aleksandrowych zjeżdżał Henryk Dąbrowski z zaboru pruskiego tak często do Warszawy, że utrzymywał tu nawet mieszkanie własne. Sprowadzały go kłopoty majątkowe i familijne, jak rozgłaszali gorliwie jego przyjaciele. Mimo tych kłopotów znajdywał czas, by codzień niemal pod koniec parady przyspacerować na Plac Saski z głośnym po brukach pobrzękiem swej szabli emeryckiej.

Na widok tego wojska nie zbierało mu się już na okrzyk: Moje!! — jak przed laty dwunastu pod adresem księcia Józefa. A miałby ku temu powody niemniejsze. Któż bo stworzył i to wojsko, jeśli z n ó w n i e o n? Po ostatecznym pogromie Napoleona i zajęciu Paryża przez wojska koalicyjne, gdy rozprzężenie i dezercja kruszyły

pokonane resztki Armji Wielkiej, któż to z największym wysiłkiem skupiał rozbitków polskich u potarganych sztandarów Księstwa Warszawskiego? Byłyż to przecie najtragiczniejsze szczątki ponapoleońskie, których powrotu nie oczekiwałaby ojczyzna żadna — 'gdyby w tym pogromie nie wsparło nas potężne ramię Aleksandra', — powiada któryś z tych rozbitków. Pod onem też ramieniem wygarniał Dąbrowski tysiące jeńców polskich z obozów Prus, Austrji i z osławionych pontonów angielskich. Tylokrotny organizator polskich sił zbrojnych, nie strawiony niepowodzeniem żadnem, imał się znów trudu nowego.

W przemarszu resztek zratowanego wojska z Paryża do Warszawy zawiązała się, prawdopodobnie wzorem Karbonarów włoskich, pochodowa loża, a raczej gmina 'Pod imieniem Dąbrowskiego'; jej celem tajnym było utrzymywanie w szarżach i szeregach całej nieustępliwości ducha narodowego. Po przybyciu do Warszawy i przygarnięciu do swego koła byłych jeńców z pośród oficerów, którzy tymczasem ściągnęli tu z Rosji, utwierdzono ową lożę na gromadnej schadzce w restauracji Chauveauta przy ulicy

Miodowej. Jeśli nie bezpośrednio z owej loży (wrychle rozwiązanej zresztą), to niewątpliwie pod wpływem jej ludzi zrodził się apel oficerów do Dąbrowskiego, jakże żywo przypominający podobne enuncjacje gromadne z czasów Legjonów włoskich:

— 'Ty, któremu tylko odzyskanie imienia ojców było zawsze na myśli, zapytaj zwycięzcy — czego chce po nas? Jesteśmy w jego mocy, ale do krwi naszej tylko ojczyzna ma prawo. Bez tego przyrzeczenia szlibyśmy w chęci niegodnej Ciebie, Generale'.

Wojsko to, sformowane ponownie, wypadło mu przekazać — znów! — pod komendę cudzą, tym razem oddać ją nadomiar w ręce, narodowi tak do niedawna wrogie. Niezadługo nie pozostało mu nic innego, jak ustąpić z Komisji Wojskowej, która pod naczelnem dowództwem Konstantego gruntowała ostatecznie armję Królestwa. I wycofać się z służby czynnej.

Nie na sucho, przyznajmy. Pożegnano go sutą pensją 'retretową'; ponadto zabezpieczył mu car od konfiskaty przez rząd pruski Winnogórską donację Napoleona i nadał mu szumny tytuł Se-

natora-Wojewody Królestwa Polskiego, czyniąc go tem *sujet mixte*, poddanym dwu zaborców. Szło oczywiście o pogodzenie go z nowym układem stosunków politycznych.

Nie należy tych ludzi, wywodzących się z osiemnastowiecza, mierzyć romantyką czasów niewoli, gdy od ludzi czołowych wymagano abnegacji jeśli nie nadludzkiej, to przynajmniej Kościuszkowskiej. Nie był abnegatem. A przecież zaniedbany zawsze jego wygląd i żołnierska prostota potrzeb własnych kłóciły się naocznie z 'kosztownością tego generała polskiego w czas pokoju', — jak narzekał swego czasu przed Napoleonem rząd Republiki Lombardzkiej. — W kraju ubóstwo powszechne sprawiało, że do jego kabzy uwieszało się po naszemu ludzi niemało i spraw wiele. A że Bellona Fortuną najmniej zarządzać potrafi, Mars kłóci się z trwożliwym Merkurym, więc był, człek zasobny, zawsze zatroskany w sprawach majątkowych. Te dostatki pokojowe wojaka przelewały się nierachunkowo jakgdyby pobok jego osoby: na życie szerokim dworem obu jego małżonek kolejnych, na potrzeby cudze, wreszcie na jego namiętność kolekcjonerską. Antykwarze włoscy prze-

syłali mu i w onej jeszcze dobie całe paki nowych nabytków.

Człek żywotny do dni swych ostatka nie zgodziłby się za nic na Kościuszkowe dogasanie w dalekiej Szwajcarji, ani na drezdeńską wtedy beztroskę Kniaziewicza, któremu 'sprzykrzyła się żołnierka'. Ten bo żołnierz do szpiku kości nie dałby się oderwać choćby od pobliża wojska swego, z którem po latach trzydziestu zżył się całem jestestwem.

Raz po raz zjeżdżał do Warszawy. I baczył.

Oto stoi tam, za barjerą, opodal wylotu ulicy Wierzbowej. Widać go zdaleka w odruchowym wokół niego rozstępie publiki, jak w wieńcu czci ludzkiej. Na placu zaś oficerowie i żołnierze w swych przemarszach i woltach defilowych czynią rozpaczliwe wysiłki, by choć ukradkowym zezem wejrzeć w tę stronę, gdzie stał 'nasz stary'.

— 'Chodźcież panowie do mnie na śniadanie,

— szerokim gestem ramion obu zagarniał garstkę tych oficerów, którzy bezpośrednio po rewji mieli czas, a nadewszystko odwagę przymknąć ku niemu, żwawo przeskakując barjerę. — Dam wam wódki, śledzia, sera. W obozie i tego nieraz brakowało. Wiem, wybyście woleli na wykwintniejsze śniadanko do Szowota, ale trzeba też pogawędzić czasami ze starym'.

Ledwie skręcili gromadką całą z ulicy Czystej (Ossolińskich) na Krakowskie Przedmieście, gdy generał zatrzymał się u narożnika pałacu Potockich przy witrynie książek (w miejscu gdzie i dziś mieści się księgarnia, acz innej firmy). Tak się wczytał w tytuły wystawionych dzieł, że ani baczył, jak oficerowie w dawnej poufałości obciągali mu mundur na plecach i podpinali wyżej szablę zwisającą zawsze za nisko na temblaku.

Wreszcie wypatrzył, co mu trzeba było, i pchnął przed sobą do sklepu kilku oficerów młodszych.

— 'Panie Zawadzki, — wołał od proga — proszę dla każdego z tych panów po jednem dziele militarnem francuskiem, a po jednem naszem, to zaś o Czarnieckim. Ja poręczam za każdego

z nich, ale tylko do pierwszego; gdy dostaną gażę, niech płacą za książki'.

Uprzytomniwszy sobie jednak, że nie legjonowe to już czasy tak gorliwego niegdyś garnienia się młodych do wiedzy i że w. książę nie cierpi oficerów, wczytujących się w inne druki nad regulamin wojskowy, dorzucił tonem dawnych rozkazów:

— 'Chłopcy, ale musicie to przeczytać effectivement! Zwłaszcza o Czarnieckim... Wielu z naszych mędrków zowie go tylko szczęśliwym partyzantem, choć według mnie był on pierwszym w Polsce Hetmanem, acz wielkimi wodzami byli niewątpliwie Zamojski i Chodkiewicz... Trudnaż to rzecz ta sprawiedliwość na świecie'.

Gdy powrócili na ulicę, zastali przed sklepem kilku oficerów wyższych, którym obowiązki służbowe po rewji pozwoliły teraz dopiero dogonić generała. Wcale nie najskwapliwiej powitał tych dawnych towarzyszy legjonowych, mimo że z niejednym ucałować się wypadło. Był całą duszą z młodymi, ta zaś starszyzna wnosiła między nich zawsze onieśmielającą okrzepłość rang i godności swoich.

O tej południowej porze w pełni słońca wiosennego roiła się ulica główna bardziej niźli od tłumów od elegantów miejskich: co krok widziało się popielate lub tabaczkowe tużurki o taljach bardzo wciętych. Panowie ci, zorjentowawszy się, komu to za eskortę służy ten niezwykły korowód wojskowy, rozstępowali się natychmiast, zdejmując jasne cylindry swe z wielką ostentacją. Przytrafiały się i mieszczki warszawskie, co rozciągając spódnice na boki, składały na trotuarze ukłon niczem na parkiecie. — Przecieżem ja nie w Dreźnie! — pomyślało mu się mimowoli — i nie osoba dworska! — By nie salutować nieustannie, trzymał czapkę w ręku, potrząsając głową to w prawo to w lewo; czynił to ruchem złym, bodliwym jakgdyby. Zmierzł mu bowiem rychło surowy, rzekłbyś, protestantyzm tych pań i panów w manifestowaniu uczuć patrjotycznych pod jego adresem. Coś z Berlina i z Petersburga razem wsączało się teraz w gęstniejącą krew tych ludzi. Bardzo odmieniła się Warszawa wraz z tem Królestwem całem!

Tą myślą sposępniały wmieszał się czemprędzej między oficerów najmłodszych. Chętnie wsłuchi-

wał się w ich rozgwar coraz to swobodniejszy, radby nawet pośmiał się z ich swywoli, jak to dawniej bywało w godzinach posłużbowych. Niechże wreszcie przestanie być tu niedźwiedziem oprowadzanym po mieście!

Zbliżano się tymczasem do jego mieszkania w gmachu Poczty Głównej na rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia. (Po późniejszem zburzeniu całej tej dzielnicy pocztowej na tyłach ocalał po dziś ten dom frontowy w dawnym naogół zarysie murów swoich).

Na swywolę młodzieży nie długo przyszło czekać tym razem. Oto wystąpiła z bramy poważna matrona z prześliczną obok córą. Najmłodszy z oficerów zamerdał się koło nich i zajrzał pannie pod kapelusz, 'słoniący jej wdzięki'. Dziewczyna skwitowała go taką wyniosłością wejrzenia, że odskoczył jak oparzony, zwłaszcza że któryś z kolegów przyłożył mu w tej chwili tęgiego kuksańca: — Bójże się Boga, toż to panie generalskie!

Ale stary, nie przybierając bynajmniej miny obrażonego męża i ojca, jakby to może należało, uderzył w szeroki śmiech żołnierski. I klepiąc

młodzieniaszka po ramieniu, huczał mu nad uchem: — 'Dobrze ci tak! nie pchaj się na ulicy pod kapelusze dam'. — A był przytem bardzo ukontentowany dostojnym fasonem swej córy: — 'Nie prawdaż, panowie, że nasze Polki mają coś odrębnego od kobiet innych: jakowąś godność wrodzoną, której nikt nie zdoła ani uchybić, ani zaimponować?'

Niebawem windował się przodownie na pierwsze piętro do swego mieszkania. Podciągał na schodach obu garściami szarawary zawsze przydługie, wstępując przytem na schody nieco rozkracznie obłąkowatym krokiem starczego kawalerzysty. Na górze kazał służbie wprowadzić tych panów wprost do jadalni. Sam zaś zbałamucił nieco, by się przebrać na podomu w jakowąś kurtkę, — miewa bo starość takie nawyknienia nieustępliwe. (Ów półszubek kazał sobie niegdyś uszyć podług wzoru z dawnej ryciny rzekomym krojem przyodziewku Czarnieckiego. Podrwiwali oficerowie jeszcze za czasów włoskich z tej posłużbowej prezentacji generała).

Niebawem powrócił do gości. A biorąc asumpt

od owego komerażu z damami na ulicy, taką wszczynał gawędę od proga:

— 'Adjutanty moje, kiedy tylko mogli, wybierali mi w marszach wojennych po kraju za kwaterę główną zawsze jakowąś wioskę, skąd widać było dworek przy kilku topolach, gdyż zawsze się trafiało, że był tam fortepianik i panienki. Otóż w onych drewnianych dworkach, skąd wyjeżdżano tylko na imieniny jakie lub na odpust, w takich to, mówię, dworkach szlacheckich zdarzało mi się często spotykać panienkę tak zgrabną, tak mile naturalną, tak skromnie i gustownie przybraną, a pełną godności i gracji, jakgdyby śród najpiękniejszego, jak to powiadają, świata wychowana była. Często panienki podobne nie miały nawet guwernantek, a ich matki, poczciwe gosposie, najmniej powołane były do podobnego wychowania córek. Więc jak się one takiemi stały? Zdaje się, że natura sama im to nadała, a instynkt trafny i takt wrodzony rozwinął to w nich i dopełnił'.

— 'Tembardziej się dziwiłem, — mówił dalej

— że podobnych zjawisk tylko w Polsce dostrzegłem. Ale, co dziwniejsze jeszcze, że w żadnem piśmie mówiącem o kobietach, w żadnym romansie lub poezji naszej nie znalazłem tych odrębnych rysów, które Polki jedynie cechują. Ten ich wdzięk udzielny wszyscy czujemy, kochamy, a przecie nikt go nam dotąd wytłumaczyć nie umiał. Pojąć Polki jest to pojąć większą połowę narodu. Póki nie pochwycimy ich znamion charakterystycznych, póty nie będziemy mieli poezji narodowej'.

Od kobiet zaczął, bo tak mu się nadarzyło, z nawyku umiłowań dawnych na poezji po swojemu skończył, — kędyż to jednak sterował uczuciem słuchaczy?

Spoważnieli oni bardzo, w oczach wszystkich zapalił się błysk, zrumieniły się policzki co młodsze. W czyichże bo instynktach, jeśli nie ludzi młodych nadewszystko, kojarzą się ślepo te dwie moce życia: głód sentymentu i ambicja? A kędyż kierują się ambicje młodzieży dzielnej, jeśli nie w społeczność ludzką? Od sobkostwa, od zasklepiania się w swojem, od ciasnoty każdej skorupy narosłej czyjeż to ręce wywodzą nas raz po raz w powszechność, w naród? Matki, siostry, żony

lub kochanki, czy też tylko samarytańskich oczu wejrzenie niezapomniane: łącznice najbardziej niezawodne z uczuciem ogółu! Tak sławić je będzie toż samo pokolenie w sieroctwie niezadługiej emigracji. Lecz będą to tylko utęsknienia samotników porozpraszanych na obczyźnie. W kraju tymczasem, na własnej jeszcze ziemi pod stopami, były i te uczucia o wiele żywotniejsze. I szerszego tchnienia.

Od kobiet tu się zaczęło, na czem zakończyło się w zamyśleniu ludzi? Od onych westalek mniemanych na zniczu samym. Tędy wiódł ich stary.

Nad petersburski dryl nieustannej musztry i parady, nad jawne obczenie Warszawy, którą wtedy to właśnie zalewać poczynała fala wschodnia i żydowska (jak trwożył się Niemcewicz), budził w nich Dąbrowski odporne umiłowanie życia rodzimego. Stawiał im przed oczy grozę wynarodowienia w pozorach wolności politycznej. A byli to ludzie orężni przecie. W niespokojnych tą chwilą ruchach niejednego szabla sama dźwięczała mu u boku. Jakże nie miały zrumienić się ich policzki?

Cisza posiała się śród tej młodzieży w mundu-

rach, spoważniały w zadumie i szarże starsze. On tymczasem wsparty łokciami na poręczach fotela zwiesił głowę w milczeniu. Zrozumiano: więcej powiedzieć nie mógł. I ściany miewały wtedy uszy.

Powoli powracał gwar w to grono, gdy pojadając obiecane śledzie i ser zakrapiali ten iście obozowy poczęstunek wódką gdańską, oczywiście. Panie tymczasem na widok tylu gości, nadchodzących w dom jak w czas kuligu, zawróciły czemprędzej z ulicy, by dać odpowiednie dyspozycje w kredensie i kuchni. Niezadługo jęła wnosić służba na stół wielkie półmiski zrazów, tak lubych podniebieniom oficerskim. Choć nie milcząc bynajmniej, bo w rozgwarze coraz to większym, 'wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem'.

Młodego wieszcza litewskiego tu nie było, bo być nie mogło. (W tym właśnie roku 1818 ogłaszał w Wilnie swój pierwszy wiersz). A że nie jadł tu i nie pił, więc w Księgach swych tego nie umieścił. A przecież tu, na rogu Krakowskiego

Przedmieścia i ulicy Trębackiej w Warszawie mógłby się nałykać polskości, wprawdzie mniej zasobnej w późniejsze barwy jego genjuszu, lecz bodaj czy nie wyższej o te pół-tonu choćby, którego przybrakło w Soplicowie, — jak zarzucał to sobie potem wieszcz sam.

Poeci z chudego naonczas Parnasu warszawskiego ściągali wraz z oficerami do onego narożnika Poczty Głównej, jak te jelenie do źródła. A stary lubił po dawnemu otaczać się literatami. Porwany za nimi i teraz oto wierszy conajlepszych przypominaniem, już nie Szyllera po niemiecku lub Petrarkę czy Ariosta po włosku recytował teraz sam, jak niegdyś za Alpami, lecz... Niemcewicza. Stawiał obecnie groble wedle stawów swojskich. A przecież po dawnemu tak mu się splatały w myślach żołnierka i wiersze, jak gdy one społem przebijały ludom Europy drogę do wolności. W byłym wodzu Legjonów budził się republikant dawny. I jego obalanie tronów za Alpami.

W płochej kompanji literackiej odżywał mu w piersiach i poeta z lat jeszcze dawniejszych, kiedy to własnemi wierszami sławił wino, kobiety i śpiew. Gdy się porwał na tworzenie Le-

gjonów, zawiesił tę lutnię swą małoważną na kołku. A przecież i teraz oto radby uderzyć w jej strony, jakto... nam najpiękniejsze kobiety i najprzedniejsze wina! bo którą my dotykamy ustami, ta stawa się najpiękniejsza! a w kielichu, do którego my przykładamy wargi, musuje wraz wino najpienniejsze!... Gotów był po staremu przepijać do młodzieży wojskowej i literackiej na żołnierkę, bohaterstwo i sławę, na wiersze poetów upojniejsze od wina: na życie sercem całem i całym sobą, choć w ostatecznym rachunku doli...

Wiadomo, że nie dla siebie! szkoda słów na to. Więc się zerwali z kielichami w ręku. (Butle włoskie na dawnych czasów przypomnienie znalazły się tymczasem na stole gościnnym). Gdyby to było u Szowota na ulicy Miodowej, szeroko rozwarłyby się do śpiewu usta nie nazbyt już trzeźwe po wódki gdańskiej nadmiarze. I gruchnęłoby na dom cały: — Sto lat! sto lat!...

A że działo się na pokojach generała w sąsiedztwie dam za ścianą, więc z niemym toastem chylono się respektownie w stronę gospodarza. Musiano się dziś zadowolić pochwałą kobiet

i wina. O ś p i e w zubożała tym razem lutnia ochoczości młodej.

Napozór niewiele odmienił się stary od czasów włoskich. Tyle że oskrobał z siebie ową poliglotję niemiecko-włosko-francuską oraz cechy trojga aż nacyj, co czyniło go dawniej w oczach niejednych żołdakiem kosmopolitą o sercu męskiem (jak i Chłopickiego naprzykład). Pogrążała go w te obczyzny trojakie żona Niemka i spłodzone z nią dzieci. Po kilkunastu latach pobytu w kraju na łonie rodziny drugiej, nawskroś już polskiej, zeswojszczał, widzieliśmy, tak bardzo, że stał się w końcu i on kością z kości rodaków swoich.

Niezadługo nastało jednak wraz z tem oskorupienie w swojszczyźnie i zażywności ziemiańskiej. Osiadłszy na wsi wśród swoich, zakorzenił się niczem tamci z Soplicowa, w konwenansach i ambicjach powiatowych. Republikant dawny do arystokracji przymknął swym ożenkiem drugim. Po takiem wywyższeniu się na kobiercu tem ci

bardziej zabiegać musiał o względy braci sąsiadów, gotów teraz obcałowywać gęby wszystkie. Tak pogodził się ostatecznie i z najzjadliwszym niegdyś kalumnjatorem swym, jen. Amilkarem Kosińskim, który przypadkowo sąsiadował z nim w Wielkopolsce, ożeniwszy się również z zamożną dziedziczką, hr. Kayserling. Skoro czasy odmieniły się tak bardzo, że i oręż sam wypada nam z ręki, cóż nam pozostaje, jak trzymanie się kupą? Kochajmy się!

Niestety! Indywidualność, niepowtarzalna jedyność natury człeczej, rzadko kiedy bywa dośmiertnym darem Muz czy Bellony, zwłaszcza gdy wypłaca się on komu na starość laurem i dostatkami. Gdy ustaje konieczność przepierania w życiu swej woli lub osobowości, wiotczeją zwolna ich cięciwy.

Bywa, że nastaje wtedy niejednemu i wtórny wpływ kobiet, wielce odmienny niźli za młodu. Te łącznice ze społecznością łączą postarzałych małżonków aż nazbyt skutecznie z całym konwencjonałem swego stanu, kasty, kliki, lub choćby familji swej tylko — słowem, z tem wszystkiem, co jejmość uważa za społeczność swoją.

W takie to ciepło na łonie małżonek dostał się na późniejsze swe lata Dąbrowski. Poszli za jego przykładem jenerałowie Kniaziewicz, Fiszer, Kosiński i wielu innych. Nieprzebrzmiała jeszcze w Europie chwała Legjonów sprawiła, że w kraju przyżeniali się oni łatwo do wdów zamożnych, dobrze urodzonych i ambicjonujących wtedy do odegrania roli publicznej u boku rozgłośnego męża. Swatania podobne musiały być wtedy we zwyczaju, skoro maruderzy legjonowi, pozostali dotychczas w Kalabrji lub w Neapolu, próbowali ubijać sprawę na niewidzianego przez swych przyjaciół warszawskich. W sferach salonowych Księstwa i Królestwa słyszało się nie tyle o panach jenerałach i pułkownikach, co o ich jaśnie dobrodzikach. Nawet ostatnie uczczenie Dąbrowskiego (jakowymś festynem w jego niegdyś przeciwpruskich okopach na Żoliborzu) urządziły i uświetniły osobami swemi Jaśnie Panie Generałowe, — o czem z respektem wielkim pisały gazety, nie wspominając wcale ich mężów. Nawracały niemal rządy damskie z czasów króla Stanisława.

To przedwczesne postarzenie się wielu wtedy ludzi czołowych zapisze się już w roku 1812 na

odwrotnej karcie klęski Napoleona. Lecz nie cofajmy się tu do owego roku, o którym 'polska pieśń marzy'. Nie cofajmy się zwłaszcza do tak rychłej potem ruiny wszystkich trudów życiowych Dąbrowskiego. Nie patrzeć było na niego, gdy wspominano rok 12. Przymykały mu się oczy i zaciskały wargi, jakgdyby w tej chwili szarpnęła go znów bólem owa blizna po ranie odniesionej — lat temu sześć — nad Berezyną właśnie.

Więc i teraz, u jego stołu, gdy któryś z oficerów podjął jakoweś wspominki z owego roku, stary tak spochmurniał, że opowiadacz niewczesny poczuł się sam jak ten wilk, co z pod śniegów Rosji wywleka jakby tu na stół niespróchniałe jeszcze kości towarzyszy poległych.

Cofano się tedy czemprędzej o lat trzy jeszcze: do roku 1809, rzeźwiąc ponure myśli zwycięską kampanją przeciw Austryjakom na ziemi własnej. Bałamucono jednak coś w tych wspomnieniach, nie dziw że zatartych okrutnemi potem przeżyciami w Rosji. Aż zniecierpliwiony generał okrzy-

knął się w stronę drzwi otwartych, by przyniesiono mu z gabinetu mapę składaną.

— 'Leży po lewej stronie biurka, — wołał do kogoś na pokojach — tuż pod tym tomikiem świeżych poezyj'.

Zaszeleściały gdzieś za drzwiami zwiewne kroki niewieście. Oficerowie, spodziewając się wkroczenia na próg samej panny domu, uładzali czemprędzej swój wygląd. Ale się zawiedli: mapę przyniósł służący.

Niczem po posiłku w sztabie odgarnięto wraz z obrusem i zastawą narożnik stołu, by rozłożyć na nim wielką mapę wojenną o szerokim obwodzie zaborów wszystkich. Stłoczono się koło niej. Ten stojąc pochylony, ów klęcząc na krześle, inny piersią całą przylegając do niej, teraz dopiero rozgadali się na dobre. Generał słuchał cierpliwie, wreszcie jął chrząkać ich wywodom na sprzeciw. Zamilkli.

'Wszystko to prawda, moi panowie: biliście się w roku 1809 walecznie, więcej niźli kiedykolwiek rozwinęliście w Polsce życie narodowe — akcentował z naciskiem, — przecież mojem zdaniem nad-

to cokolwiek rozgłaszamy tryumfy nasze. I tę wojnę wygrał Napoleon w skutku zwycięstw pod Ratisboną i poniżej nad Dunajem... Był tu u mnie onegdaj Niemcewicz i odczytał mi swą bajkę, w której i charakter tej wojny i naszą przesadną chwalbę odmalował. Muszę go poprosić, aby mi pozwolił przepisać ten wiersz dla was'.

Nie podnosił tymczasem oczu, wyczuwając niezadowolenie słuchaczy. Uszczypliwość Niemcewicza znana była wszystkim; czyżby w tej bajce, myśleli, poszargał on ich zasłużoną chwałę?

Więc stary mówił dalej do siebie:

— 'Wojna ta będzie sławna nie tyle z naszego męstwa i zapału, jak z umiarkowania wodza nieprzyjacielskiego i obchodzenia się wojska jego z mieszkańcami. Oto co należało w tej wojnie do zjawisk najrzadszych. Żałuję bardzo, że nie znam arcyksięcia austryjackiego, musi to być najszlachetniejsza dusza. Mamy wieńce obywatelskie, wojskowe, nie mamy odpowiedniego takiej sławie. Byłby to laur europejski, laur ludzkości'.

I wtedy dopiero podniósł na oficerów oko wyłupiaste, nakazując tem, jak to dawniej bywało, zastanowienie się nad rzeczą usłyszaną.

Przytomny tu sztabowiec ceniący się wysoko, pułkownik w orderach i akselbantach, jął szurać krzesłem pod sobą na znak przeciwu niemego, skoro nakazano ciszę. Wreszcie nie wytrzymał i parsknął niecierpliwie:

— Może arcyksiążę jest poprostu masonem, więc doczekał się rozgłosu i u nas. Tak to splatają się wieńce i dla nieprzyjaciół narodu.

— Hmm?!...

Poczerwieniał i sztabsoficer, a opamiętawszy się widać, że w bardzo niestosownem może miejscu wyrwał się z tą uwagą, począł czemprędzej odwracać rzecz, twierdząc teraz, że temu wodzowi nieprzyjacielskiemu nie obcy był widać punkt honoru.

Generał manipulował niecierpliwie koło mapy na stole, by w tem zajęciu rąk ustatkować gniew na gościa, nieprzystojny gospodarzowi. Ochłonąwszy, zwracał się nie do oponenta swego, lecz do młodzieży:

— 'Pięknaż to gwiazda, co tak uroczym blaskiem przyświecała wiekom rycerstwa! Alić ani Grecy, ani Rzymianie nie znali naszego wyobrażenia o honorze, a przecież wsławili się tak

wielkiem p o ś w i ę c e n i e m' — kończył z takim naciskiem, że aż o stół przybił słowo ostatnie.

Na tę chwilę wkroczył do pokoju autor legjonowego mazurka, Wybicki, obecnie prezes Sądu Najwyższego, człek już nieco przytyły, pogarbiony i jak gołąb siwy. Ten filozof legjonowy, którego kochano niegdyś tak serdecznie, warując swą godność dzisiejszą, złożył wszystkim zaledwie ukłon ogólny. Zaczem rozsiadł się w fotelu z nonszalancją wielką. Tak wystawiał swe ciało poważne z ociężałą, rzekłbyś, konkokcją osoby wielce respektownej. Podejmując jakgdyby łaskę i tego zebrania, jął rozpytywać, o czem też była mowa pod nieobecność jego.

— 'O honorze? — ożywił się natychmiast. — Mówił mi raz pewien proboszcz, że nigdy nie mógł pojąć tego n o w o w y m a r z o n e g o uczucia, którego śladu ani w starym ani w nowym Testamencie nie znalazł. Ludzie, powiadał, zawsze zepsują dzieło Boże. I tak: Bóg stworzył mężów dzielnych... i wino dla nich (zerknął na butelki). Ludzie zrobili z tego honor i piwo. Pierw-

szy jest rzeczą niezrozumiałą, drugie mętem niemieckim'.

Te wywody filozofa obozowego spotkały się z wielce rozmaitem przyjęciem. Pułkownik sztabowy zgrzytnął chichotem, niewiadomo zresztą w którą stronę kierując ten syk złośliwości. (Dygnitarze rzadko kiedy śmieją się bezinteresownie). Więc w młodzieży skwasiło to humory: zbrakło im w gardłach śmiechu ochoczości prostej. Wybicki mógł stwierdzić, że postarzał się bardzo, a wraz z nim i czas sam: co bawiło niegdyś oficerów republikantów za Rewolucji Wielkiej, szło bardzo niewsmak paniczom dzisiejszym. Kojarzenie honoru nie z imieniem ojczyzny, jak w ustach księcia Józefa, lecz z piwem, było dla nich nazbyt już wielką swywolą jakobińskiego ducha.

Dąbrowski schmurzył się. Nie na to sprowadzał do się tę młodzież, by dowcipami sofistyki, w których tak celują prawnicy, burzono w tych sercach jego żołnierskich poczucie godności osobistej. A po sądach uprawiają nieraz taką pedagogikę kapralską. Więc zreplikował Wybickiemu z dużem wszakże baczeniem na przyjaźń starą i z

należną attencją dla wskrzesiciela Temidy narodowej:

— 'Musi być jednak w honorze coś wziętego z natury ludzkiej, skoro tak potężnie i trwale panuje. Wreszcie, moi panowie, iluż to ludzi znamy, którzy wszystko w burzy życia stracili: cnotę, religję, moralność, a przecie honor ich jeszcze jakkolwiek na lepszej drodze utrzymuje. Dlaczego odejmować im tę ostatnią deseczkę ratunku?'

Stało się, że najmłodszy i najwrażliwszy widać z oficerów, ten co tak niefortunnie popisał się przed damami na ulicy, zerwał się nagle z krzesła i wykrzyknął, a raczej w wielkiej alteracji aż zapiał dyszkantem młodzika:

— Honor deseczką ratunku?! Albo mętem filozofji niemieckiej!? Albo nakoniec piwem szumnem!?... My wszyscy tem piwem ochmieleni!

— Wiem, — generał wziął go pod zmrużone oko za tę wybuchowość łzawą. — Wiem, — powtórzył — ilu z tych ochmielonych pakuje sobie dziś kulę w skroń, gdy którego zelżył na Placu cesarzewicz sam. Otóż tym nadmiarem poświęceń bez celu sprawiliście, że żałoba narodu odmieniła

się w gniew powszechny, w złość na was. I czegóż się doczekaliście? — że was poeta przyrównał do osłów, co tyłem jeno wierzgać potrafią, 'tyle rozumu nie mając', powiada, że się przodkiem bronić należy.

— Od czoła! nastawaniem wręcz! — przybił prezes Sądu Najwyższego.

Rzekł i przeraził się natychmiast wyskokiem radykalizmu swego, co zatajał się w nim widać i pod togą dzisiejszego dygnitarstwa. Trybem mówców sądowych zrzucał tedy czemprędzej odpowiedzialność za zbyt śmiałe słowa na... proboszcza: poprostu na imię czyjebądź.

— Znam ten wiersz Niemcewicza, — dorzucił po chwili.

U stołu tymczasem struchlała cisza sama: nad temi mundurami wojskowemi zawisał przecie miecz przysięgi na wierność 'królowi'. Toć tym razem mogłyby prawdziwie i z ścian samych wystawić się uszy podsłuchu.

Długoż to jednak czekać kiedykolwiek, by bunt zaległy w głowie starej przerzucił się płomieniem w serca młode? Więc i tym razem lęk z przed

chwili zamieniać się począł niezadługo w hardość podrzucanych czół.

Tak zstąpił na to grono oficerskie starolegjonowy duch Karbonarów. A w onych to właśnie czasach czołownik opozycji kaliskiej, Niemojowski, przełożył Katechizm Węglarzy Włoskich, który w licznych odpisach krążył wśród oficerów. Równocześnie w tej ciszy teraz u stołu wskrzesać mogła tajna moc druga, wynurzona z bruków Warszawy i jakże pamiętna Wybickiemu: rzekłbyś tchnienie Kuźnicy dawnej, co z dalekiego Solca przeniosła się tu, na Krakowskie, by iskry zdawna niedogaszone rozdmuchiwać w pożogę nową.

(Nieinaczej działo się wonczas i u innych narodów. — 'Zły duch unosi się nad Europą całą' — powie za dwa lata car Aleksander na otwarcie sejmu polskiego).

Dąbrowski zerwał się tymczasem z fotela i w tej ciszy pulsującej jął stąpać po pokoju, aż skrzypiała pod nim posadzka. Podejmuje machinalnie coś tam z nad kominka i w temże roztargnieniu odstawia to z powrotem: boryka się z sobą najwyraźniej, waha w zamysłach. Skrzypi wciąż pod-

łoga pod człapiącem przypadaniem kroków jego, jakże bardzo już niemłodych.

Aż tu niespodzianie odwróci się szparko, jakby skomenderowawszy samemu sobie na baczność. Wysilonem sprężeniem kroków podchodzi do stołu, na którym ktoś tymczasem szablę położył, by mapa rozłożona wposzerz nie gurbiła się w załomach.

I oto na tę mapę zaborów wszystkich kładzie tuż przy szabli dłonie obie napłask, właśnie jak ten mistrz w loży, gdy na sporów zamknięcie swoje słowo rzec ma.

Lecz tu wsunął się do pokoju jego ordynans inwalida i przymknął poufnie do swego pana. Zaczem jął ściągać z niego ową kurtkę na podomu, a nie bacząc całkiem na obecnych oficerów, przebierał go czemprędzej w mundur zawczas przyniesiony. Znaczyła się tem rzecz pilna. Szamocąc się z tem przeodziewaniem na gwałt, jął stary kląć. Nieprędko zwiedziano się, o co idzie. Rosyjski szef sztabu wielkiego księcia zajechał przed dom i przysłał na górę adjutanta swego, czy może zło-

żyć uszanowanie imieniem Jego Cesarzewiczowskiej Mości.

Oficerowie zerwali się na te słowa i wysztywnili, jak trzeba: ocknięci z niedopowiedzianej tajemnicy poczuli się jakby odrzuceni z powrotem w rzeczywistość.

Najbardziej zaniepokoił się tą wizytą pan pułkownik sztabowy:

— Widział nas szelma gromadnie odchodzących z Placu, więc wciska się aż tutaj, by nas przerachować.

— Być może — odparł gospodarz sucho. I zgoła innym tonem zwrócił się do młodych, aby który z nich nie kwapił się przypadkiem popisywać ruszczyzną przed szefem sztabu. — Więc, moi panowie, język francuski, oczywiście!

Skrygowali się tedy i za generałem przeszli do salonu, gdzie pośrodku dywanu stały już obie panie w oczekiwaniu tak szumnie zapowiedzianego wysłańca Carewicza Następcy.

Przybywał jenerał Kuruta, by w jego imieniu zaprosić Jaśnie Pana Senatora-Wojewodę Królestwa Polskiego na jutrzejszą, intymną niejako rewję na dziedzińcu Brühlowskim, gdzie sprezen-

tować się mają wyborowe oddziały piechoty w nowym kroju pantalonów i w sznurowem wyrównaniu wąsów.

Najmłodszy z oficerów, nie ochłonąwszy wciąż jeszcze po swym wybuchu w dyskursie ze starszyzną, nie odważał się w tem wzburzeniu wkraczać do salonu. Powstrzymywał go i wstyd: bo jakże być teraz przedstawionym owym paniom po tak niedawnem pchaniu się na ulicy pod ich kapelusze? Pozostał tedy w jadalni, pozorując przed służbą to maruderstwo swoje przecieraniem czoła i wspieraniem głowy na dłoni, że niby przepił się nieco.

Ranga podporucznika nie imponowała bynajmniej owej służbie, a cóż dopiero gdy nietrzeźwy. To też, nie oglądając się na niego wcale, rzucili się dopijać nie wypróżnione flasze i pojadać co smaczniejsze kęski z półmisków. Przewodził im i w tem sam marszałek onego dworu: ów ordynans jednoręki z inwalidów. Służba ta kompletowana była widać dorywczo za każdym przyjazdem

generałostwa do Warszawy, trudno było bowiem wozić ze sobą z drugiego zaboru całą gromadę domowników. Tak się przynajmniej domyślał podporucznik. Zerknąwszy ku nim niedbale mógł stwierdzić łatwo, że są to w i a r u s y z byłych wojsk Rzplitej lub Legjonów, ci sami ludzie, co przed laty sześciu sprzedawali się przed hotelami za zastępców na wojnę roku 12, kupcząc własnem ciałem i resztą animuszu wojennego. Ale wojny minęły ostatecznie. Pod nowych czasów naciskiem i biedą ocalała garstka onych wojaków sprzedawała się teraz na lokajstwo. Wiarusy zamieniały się naostatek w wylizaczy misek po swych jaśnie towarzyszach broni niegdyś legjonowej, którym lepiej powiodło się w życiu.

Podporucznik potrząsał głową. Nie mało beztroski i ufności pani generałowej, myślał, trzeba było w przygodnem formowaniu sobie takiej w i a r y pokojowców. Bo starego nie obchodziło to zapewne wcale. I poco mu dwór aż tak szeroki! — dziwił się naostatek — skoro wszystkich swych gości ponoć radby częstował śledziami i serem? A i sam dla się żyje, powiadają, nie innym

wciąż trybem pobok swej familji. Ona sobie, on sobie.

Pochylony mimowoli nad mapą rozłożoną wciąż na stole, odwrócił oficer niebawem myśli ku onym wykresom działań wojennych z roku 1809, kiedy to, wedle generała, rozwinęło wojsko wśród ludności więcej niźli kiedykolwiek ducha narodowego. Byłaż to przymówka do wojska dzisiejszego?

W tem zastanowieniu wszystkie chwile przeżyte dziś ze starym nabierały dlań o wiele głębszego znaczenia nad pozornie dobroduszne jego gawędy. Do księgarni ich przedewszystkiem wiódł, książki w ręce wtykał: małomyślni mi dziś jesteście, zdawał się mówić, na nic mi tacy! A każdem napomknieniem późniejszem zdzierał tu z ich młodości, jak z pąków płat po płacie, wszystkie ich sądy, mniemania, wierzenia. Przesądem niemal czynił i honor sam, że nazbyt budują dziś na nim całą wartość swą. — Jakim też jesteś z natury swej? Ku jakim rodziłeś się przeznaczeniom? Tegom ciekaw, nie mniemań i wierzeń twoich.

Ku czemuż to?

Czyżby pułkownik sztabowy złą nieufnością

swą sięgał jednak w ukryte intencje starego? Czyżby to wszystko było jedynie przesiewaniem tu ludzi, niczem ziaren od plewy, by wybrańców powieść naostatek w one piwnice masońskie, gdzie zakładają sobie odmienianie serc ludzkich? A śród oficerów słychać poszepty sekretne o zamiarach wyłonienia z masonerji starego rytu jakowegoś W o l n o m u l a r s t w a n a r o d o w e g o. Zakładano widać odrębną L o ż ę wolnomularską lub G m i n ę węglarską, czy też nowy O b ó z, jak się to zwało u niedawnych Templarjuszów naszych.

I oto całe życie publiczne Polski rozpadło się młodemu na dwie prawdy o niem: jawną, którą rządził pozór i blichtr przy wyzierającem z za każdego węgła znieprawianiu dusz, a wraz jakowąś prawdę wyższą, nieosiągalną dla niewtajemniczonych. Rozdziela je obie zasłona nieprzejrzana, jak niegdyś w świątyniach Egiptu.

Po rozgwarze nagle głośniejszym w salonie ścichło wnet za drzwiami: gość ceremonjalny bawił krótko. Nie pozostało i oficerom nic innego jak

w szastaniu ukłonów przed paniami opuszczać kolejno progi gościnne.

Jednoręki kamerdyner podreptał czemprędzej do przedpokoju po spodziewane napiwki. Wrócił wielce uradowany, ważąc w dłoni złoty dukat katarzyński, jakim go obdarzył rosyjski szef sztabu. Zaskoczył go w tej kontemplacji pan pułkownik sztabowy, który swego pieroga z wspaniałym pióropuszem nie raczył był zostawić w przedpokojowym niełądzie, gdy generał wprowadził ich do się taką gromadą. Więc przyniósł swój cenny strój głowy aż tutaj, by złożyć go w bezpiecznem miejscu na kominku jadalni. A sięgając teraz po ów kapelusz, przyglądał się zezem inwalidzie.

Miał pan sztabsoficer ostre oko na marsową prezentację żołnierzy, a kulfonów inwalidzkich znosić nie mógł — w duchu Konstantynowskim zresztą. Więc przymówił i temu słowem z nałogu widać dokuczliwem:

— Bacz, by to złoto moskiewskie nie zamieniło się w twej jednej rączce na 30 srebrników.

Co rzekłszy, przygarnął do piersi swój pierog z pióropuszem i prześlizgnął się jakoś boczkiem—

krokiem dyplomaty — przez drzwi naoścież otwarte.

Kaprala zrazu zatkało w gardle: rozdziabiły mu się tylko usta, a ów dukat katarzyński wypadł mu z brzękiem na podłogę. Poczem w ślepej pasji jął inwalida wymachiwać jak chorągiewką pustym od łokcia rękawem mundura.

— Tyś sam tu Judasz! — wykrzyknął na puste już pokoje.

Podporucznik odważył się wreszcie wkroczyć do opuszczonego przez gości salonu. Uderzyła go przedewszystkiem wielka litera *N* w wieńcu dębowym, powtarzająca się niezliczenie na rysunku płowego kobierca. Zaczem dopiero spostrzegł w lewym kącie sali na kolumnie marmurowe popiersie cesarza i króla Aleksandra w postaci młodzieńczego cezara — o głęboko rozchylonej szyi, a z końcem togi zarzuconym przez ramię.

Lecz oto pośrodku ściany portret pani generałowej, tak popularnej wtedy w Warszawie, pani Barbary. Widzi się ona tu postacią Basi: w powabie urody dawnej — z czasów owego *N* pod stopami. Gdy ten obraz jaśnieje bielą sukien i urodziwego lica światłością, nad kominkiem po prawej wypina się brzuchem pękatym konterfekt

samego generała w mundurze paradnym, tak przeobfitym w galonowe wyszywki, w wstęgi i ordery, że miniesz spojrzeniem oblicze osoby, oddane zresztą takim szablonem, iż nie zatrzyma oczu niczyich. Ręką prawą wspiera się na księdze niczem mędrzec jaki, gdy gestem lewej dłoni zaleca białej hermie Bellony — te chyba Pamiętniki swe wojenne. A oręż?... Oręż wisi w gobelinowej głębi tylnego planu.

Z iluż to portretów wojskowych onej doby srożą się miny marsowe, by aż ciarki przebiegały widzów? iluż to wojowników obrazkowych harcuje na koniu po polach zwycięstw cudzych? Trzebaż było ciałem brzuchacza w odętej pysze dygnitarza uwiecznić nam tego właśnie wodza, który przez lat 30 szamotał się jak tygrys w zmaganiach krwawych!

Całą uwagę podporucznika pociągnął niebawem przywarty do przeciwległej ściany fortepianik. (Aha, i tutaj!—pomyślał). Był to raczej klawecyn modnego wtedy kształtu żyrafy, tak zwany dla wysokiego pudła strun, co piętrzyło się prostopadle do klawjatury. U szczytu tej skrzyni tonów o rysunku liry rozkładał skrzydła pozłocisły orzeł

Napoleona. I ten ptak zdawał się stąd zrywać w glorję czasów minionych.

Oto małym jej monumentem nad kominkowym zegarem widzi się książę Józef, zdziałany w bronzie: wspiął konia i sprężył ramię z szablą wzniesioną. A mimo tej udałości junackiej nie przed się wzrok wbija, lecz niży głowę, a oczy wdół wpiera, jakby za onem fatum, co na honor, na ojczyznę! runąć mu oto każe w odmęty przeznaczenia — po swą chwałę wieczną. Chronos brodaty, objąwszy ramieniem zegara tarczę, duma przy niej nad kosą zwisłą. Coś zgrzyta za każdym razem od kominka, zanim się wydzwoni pora właściwa. I czas sam swarzy się tu z godzinami, które wydzwaniać musi.

Kuranty drzemią w tym zegarze, świadczy sznurek zwisający z pod tarczy.

Że całego tego wnętrza nie uładziła szorstka ręka generała, mógł się domyślać i podporucznik. Oto maleńkie biało-złote krzesełka, obite w kwiatki srebrzyste, a porozstawiane w umyślnym nieładzie na rozmowy stoliczkowe lub dyskretne, kto chce, zaloty. Na jednym z tych stoliczków widać robótkę matrony: mitynkę dzierzganą na drutach,

na sąsiednim woreczek panieński, z którego wypadł flakonik wraz z fiszutką. Stało się to może tą chwilą, gdy z falbanowej sukienki furknięciem zerwała się panna do fortepianika... Młodemu rozdzwoniły się w tej chwili najwyraźniej, brzęk za brzękiem, klawecynu tony cienkie:

Ani ten czyżyk zielony
Rozyny ręką pieszczony,
Co przy jej piersiach nocuje...
Ani ta róża rumiana
Białą Twą rączką zerwana...

Czyżby klawisze same zagrały w tej chwili?

Ten nagły zawiew aury niewieściej uderzył już nie w wyobraźnię, lecz wonią lawendy w nozdrza oficerskie. A gdy wspomnieć musiał natychmiast swe zaloty uliczne, skonfundowany bardzo, jął się dyskretnie wycofywać tyłem — póki nie rozdźwiękły potrącone przezeń szyby gablotki.

— O, pardon! — wykrzyknął odruchowo (jako że był rozkaz mówienia po francusku).

Na szklanych półkach gablotki poukładane były najwidoczniej rączkami obu pań niezliczone ordery i wstęgi męża a ojca, pośrodku zaś w mi-

sternem puzderku od biżuterji wszystkie kule i ułomki granatów, wyrżnięte w ciągu lat z licznych ran generała. Na innych półkach przeróżności: para pasterska z porcelany misseńskiej, wstążeczkowe przewiązki spłowiałych włosów, filiżaneczki wschodnie, wreszcie kubki, z których u wód zagranicznych pijała sama pani domu.

— B a b y! — żachnął się na ten koniec nawet ów młodzik zalotny.

Nieprędko zdał sobie sprawę, co mu tak gwałtownie odmieniło afekta, w inną wraz stronę przerzucając uwagę napiętą. Przykuły mu się teraz oczy do widnych w głębi gabloty rękawic jakowychś o szerokich manszetach, do kutej w srebrze kielni małego kształtu i do takiegoż cyrkla. Pobok stał puchar białoszklisty o rubinowem ku górze rozognieniu.

Dojrzał drążone i w tym krysztale insygnja masońskie.

Generał zatrzymał się tymczasem w przyległym do gabinetu swego salonie 'służbowym', gdzie za

pobytów warszawskich udzielał posłuchań. Czekała tu cierpliwie godzin już kilka cała ława klientów. Od pierwszego rzutu oka zainteresował go najbardziej petent o wąsach wielce sumiastych, z czupryną jak ta strzecha zwichrzona pod starość: chłop z miną gęstą, choć w portkach parcianych i łapciach. Wystawiał on pierś w pracowicie łatanym mundurze Legjonów, z którego słońce wypiło już niemal barwy. Na tych piersiach miał aż dwa szeregi medalików wojennych, poniżej zaś spłowiałą już całkiem kokardę Trikolory republikanckiej z istnemi wykrzyknikami złotych na niej liter: *L! E! F!*... Centaurową zjawą mógł się widzieć ten człek: do połowy chłop cierpiętliwy i wytrzymały jak ten koń jego u pługa, a od pasa bujny niegdyś harcownik Rewolucji Wielkiej po polach bitewnych Europy.

Przypominał sobie generał co nieco to istne widziadło epoki zamarłej. Więc dla sprawdzenia zasypał go gradem pytań, jak na obchodzie przed frontem: w których pułkach służył? w czyich zaś kompanjach? (ile że kadry zmieniały się wtedy tak często) i w jakich bitwach był? Usłyszał li-

tanję, przy której aż mu się głowa rozkiwała w przypomnieniach.

— 'Pewnieć o pensję inwalidzką idzie? — odgadywał czasów ostatnich doświadczeniem. — Oj, trudno dziś o nią legjonistom, zwłaszcza z gemajnów. No, ale napisz prośbę, jak ten tu pobok, co czeka z nią jak z laurką w ręku'.

— 'Gdyby dali, tobym wziął, ale pisać!?...'— odął się chłop wzgardliwie. — Ma zresztą przytułek u familji we wsi, a na tabakę sam sobie zarobi. Więc nie to przywiodło go do Warszawy dobre mil kilka, — tu podniosła mu się odruchowo stopa w łapciu do cna zdartym. Chciał poprostu jeszcze za życia zobaczyć generała. 'Bóg ci zapłać za pamięć' — 'I zapytać o coś' — 'Mówże śmiało'.

Stary żołnierz dopraszał się posłusznie o posłuchanie na sekrecie.

Więc podeszli do okna. Człek, oglądając się wciąż za sobą, czy aby kto nie podsłuchuje, podsunął się do boku generała i dla większego widać sekretu szepnął mu sprawę za kołnierz pod uchem:

— 'Może też będzie tu w Warszawie jaka zrywka nasza? Jam gotów', — prostował się w tym meldunku.

— 'Cii!...' — usłyszał za odpowiedź całą. I ujrzał nad sobą nasrożone brwi. 'Bóg ci zapłać za odwiedziny', — złagodził stary natychmiast, szamocąc się koło kieszeni. — Masz tu talara na tabakę i buty.

Ale tym razem nasrożyły się brwi starego żołnierza. — Komuż wiedzieć lepiej, niźli tobie? Więc będzie zrywka, czy nie będzie? — nastawał nie słowem wprawdzie, lecz tem wymowniej spojrzeniem.

— Juźcić że będzie, — ustąpiono wreszcie — ale my z tobą, bracie, już tego nie dożyjemy.

— Ehe! ehe! — podrzucał chłop podbródkiem, niby na ukomplementowanie: trzymamy się krzepko. Ale wnet sposępniał i, skubiąc wąsa, jął bacznie i długo przyglądać się twarzy generała. — Czy myśli umierać? — zagadnął go nagle zgruba, po chłopsku.

Za całą odpowiedź poczuł ów napiwek, wpychany mu niecierpliwie w garść. Skłopotało go to tylko. Dawniej bo, na obczyznach, za ów niuch tabaki po przypięciu medalika dziękowało się szarżom po francusku: podaniem łapy żołnierskiej, wytartej wprzódy o pantalony. W kraju in-

ny obyczaj. Więc gdy generał wmuszał mu wciąż swój datek, sam zwierając mu kułak nad nim, nie pozostało jego żołnierzowi nic innego, jak po swojacku, po krajowemu pogiąć się nisko wpół i zamieść czapą u stóp pańskich.

Spańszczyźniał nawrotnie i ten chłop.

Na schodach zdawało mu się, że usłyszał ni to pogwizd dawnej piosnki legjonowej. Kamerdyner to, uprzątając salon po gościach, pociągnął widać dla rozrywki sznurek kuranta. Rytmem już nie żołnierskim, zdawało się chłopu na schodach, lecz jakby komu na zabawkę tylko rozbrzmiewało tam z salonu: niby 'Jeszcze Polska'..., niby 'Marsz, marsz Dąbrowski', a właściwie ta oto przyśpiewka, do której kapral jednoręki przytupywał w sali z takim ferworem, że aż łokciem kikuta swego poddawał sobie mazurkowe hołubce: — 'Rzekł nasz stary do swej Basi: biją tarabany!...'

Był to starej piosnki dodatek powstały w kraju, błahy, jak tyle późniejszych jej refrenów. (Jen. Kosiński twierdzi Dąbrowskiemu na złość, że ten mazurek jego, zlekceważony przez publiczność, poszedł za Królestwa w całkowite zapomnienie, i że odżył dopiero w szeregach 31 roku).

Tak czy owak, owa śpiewka pod marsz żołnierzy bosych, co niegdyś obalali trony — a wraz z nią, nasiąkłe krwią narodów, Liberté, Egalité, Fraternité — zamieniła się wśród Polaków przed rokiem 30 w kuranty salonów szlacheckich, w ochocze pogwizdy w. księcia na Placu: stała się jak te po gablotkach porcelanki pasterkowe.

Na zakończenie muzyczki krótkiej ów zda się Chronos u tarczy zgrzytnął znów gniewnie trybami zegara, wydzwonił godzinę, by pod monotonne wnet ich cykanie ostrzyć dalej kosę swą.

Tegoż dnia na podwieczerz przebrał się generał za cywila, z umysłu jak najbardziej po warszawsku na wygląd uliczny: wdział czamarę, wcisnął na głowę maciejówkę i sięgnął w przedpokoju po laskę sękatą. Ten przeodziewek jak na maskaradę wprawił go w zły humor, zwłaszcza że nie mógł go ukryć przed służbą. Oto kamerdyner pęta się koło niego ciekawszy od wyżła: — Dokądże to

w takim stroju? — świdruje go oczami, to zapinając, to odpinając znów na nim szamerowania czamary, że niby pętle krzywią się i dopiąć nie dają na brzuchu. — P a s z o ł w o n! — zaklął nagle stary: raz za tę przymówkę do jego brzucha, powtóre że krzepkie klątwienie rosyjskie stawało się już skuteczniejsze wobec wszelkiego lokajstwa w Warszawie. Jakoż kapral, tuląc uszy jak ten wyżeł przed chwilą poufały, istotnie poszedł sobie wont.

Co spojrzy stary w zwierciadło, to nasroży się chmurnie: widział się w tej chwili ni to ekonomem, ni rzemieślnikiem, co rad zagląda do kieliszka. Własny nochal, jak klął, wydał mu się bardziej czerwony nad ciemną czamarą, niźli nad ponsowemi rabatami mundura, oczy gburowato podbrzękłe, brzuszysko jak ten wór nabity, a zato ręka w cywilu jakoś bielsza i bardziej omiękła. Hardząc się na ten wygląd swój fasonem wojskowym, jął mimowoli ową laską wyczyniać w przedpokoju jakoweś młyńce, zadawać i parować ciosy urojone.

W tym egzercerunku dla rezonu pomyślało mu się znienacka: kijem czy szablą nie obronić mi się

od niej... Czy myśli umierać? — pytał chłop. W najcięższych hazardach życia nie rozmyślał nad tem. Skądże teraz nagle?... I znów to zwierciadło. — Tfy! — odwrócił się z pasją.

W konspiracje nie wdawał się nigdy. Z legjonowych natomiast czasów zachował nieprzepartą odrazę tyleż do knowań wszelakich, co i do sądów cywilnych nad niemi, które choć nie groziły już wtedy gilotyną, cuchnęły mu po staremu szpiegiem, oprawcą i lochem. Musiał przemóc w sobie teraz i tę zadawnioną omierzłość. Wypadło mu bowiem koniecznie widzieć się przed odjazdem z ludźmi, na których tropie, wiedział, są już szpiegi. Miałże zwlekać z ostrożności, chroniąc własną swą skórę? I to za ostatnim już może pobytem w Warszawie?... W takiem przedsięwzięciu, rozumiał, hazarduje coś więcej niźli w bitwach, bo to wszystko, na czem zbudował godności i dostatki swe — dla kobiety i dzieci już teraz, boć nie dla siebie w grób.

A, no!...

By nie występować wprost z bramy przed oczy szpiclów ulicznych, przemknął się obok wjeżdżającego w bramę powozu na podwórze tych gma-

chów Poczty Głównej, a raczej w szereg dziedzińców, zatłoczonych jak zwykle od przybywających i wyjeżdżających na wsze strony dyliżansów. Tu w jarmarcznym tłumie podróżnych nie zwróci uwagi niczyjej. Przez te podwórza przedostał się na ich tyły podle Ogrodu Saskiego. Pierwszemu z napotkanych dorożkarzy zlecił podjąć budę, że niby na deszcz się zbiera, i kazał się zawieźć na Kanonję.

Tu, obok gmachu Staszicowego, w domu księżym, na drugiem piętrze, w mieszkaniu byłego adjutanta swego Wierzbołowicza miał, umówione na tę godzinę, spotkanie z szwagrem tego adjutanta, Łukasińskim.

Drugim z umówionych na tęż godzinę był Kazimierz Machnicki.

Rzekłbyś, instynkt przedśmiertny sprowadził go naostatek do tych dwóch najbardziej niezłomnych charakterów w pokoleniu młodem.

W najpoufniejszej z nimi rozmowie wywodził Dąbrowski, jak to — 'kształt konstytucyjny rządu nie znajduje zabezpieczenia w tak wątle ustalonym Europy stanie. Niepewni bytu swego Polacy w przyszłych wydarzeń kolei mogliby z nowych

swych poświęceń i wysileń odnieść równie małe jak dotychczas korzyści. Należy tedy ożywić działalność narodu polskiego i natchnąć go ufnością we własne siły'.

— 'On jeden był, który napełnił przerwę od upadku Polski do jej ocucenia, a nie znajdując ją tak przywróconą, jakby być powinna, umierając myślał jeszcze o tem, jakby ją ratować', — powie ostatni powiernik Dąbrowskiego, najbardziej wtajemniczony w jego zamierzenia ówczesne, pułkownik Szczaniecki.

— 'Myśli te, — doda — które poniekąd rzucił tylko Dąbrowski między swych towarzyszy broni, różni różnemi sposobami chcieli użyć... W roku 1819 (w roku po śmierci generała) udałem się z Poznania do Warszawy i zaznajomiłem z majorem Łukasińskim'.

Otrzymał od niego zlecenia działań organizacyjnych na Wielkopolskę, szyfrowany klucz korespondencji itd. Pobliski przez granicę świadek,

a wnet i współuczestnik tych zabiegów, kaliszanin Teodor Morawski zanotuje:

— 'Major 4-go pułku Łukasiński pod natchnieniem podobno generała Dąbrowskiego urządził teraz W o l n e m u l a r s t w o n a r o d o w e... W opłakanych czasach nierządu narodowego zaradzali sobie ojcowie nasi prawie nierządniejszemi jeszcze konfederacjami; pod jarzmem obcem uciekamy się do tajnych związków'.

Masoństwo starego, szkockiego rytu stało się wtedy osobliwem spiskowaniem jawnem, w którem lubowali się urzędnicy, loże zaś Wielkiego Wschodu były napół tajnemi konwentyklami hierarchij wyższych, gdzie największe uhonorowania osiągali także i szefowie policji tajnej (jako 'pełni doskonałości kawalerowie Róży i Krzyża'). Dąbrowski mógł się łudzić co do narodowego znaczenia masonerji, pomny chociażby na tak niedawną, jakże innego ducha, lożę pod swojem imieniem. Machnicki i Łukasiński odwrócą się niezadługo od wszelkiego bałamuctwa pozorów: od czczych obrządków i postrachów masońskich, a nadewszystko od tej obłudy w skrytościach, która deprawowała im ludzi.

Omija się tu wszystkie perypetje i przemiany, a nawet zmieniające się nazwy związków Łukasińskiego, ściągając rzecz do treści ideowej.

Oto jej zaświadczenie z nader zaskakującej strony, bo od przybocznika (aide de camp) i faworyta samego ks. Konstantego. Światowiec 'genjalny w dowcipie', a przytem karcianego hazardu i kobiet miłośnik, okazał się kapitan Mycielski w twardej próbie charakteru żołnierzem rycerskiego czoła i nieustraszonej prawości cywilnej. Za lat kilka aresztowany odmieni się w poteraniu udręk więziennych tak bardzo, że ledwie go poznają jego znajomki salonowe i towarzysze zabaw, a obecnie sędziowie nad nim. Sprawa, w której miał zeznawać, była dlań narodowo tak doniosłą, że nie myślał narażać jej na podchwytliwe indagacje, które zbywał pogardliwem lekceważeniem. — 'Kto należał do związku?' — rozpytywano przedewszystkiem. — 'Bez wszelkiej wątpliwości należałem ja, o innych mówić nie życzę'. Lecz oto jego pismo więzienne jako odpowiedź na zasadniczą treść tych indagacyj (pismo zresztą, w którem o samym sobie wyraża się częstym trybem ówczesnym w osobie trzeciej: on lub ten. Nie ina-

czej, przypomnijmy, pisze o sobie w pamiętniku wojennym i sam wódz Legjonów).

Zeznaje tedy Mycielski:

— 'Zamysły jenerała Dąbrowskiego wielkie wrażenie uczyniły na tym, któremu je udzielił. Ten zaś, usiłując stosować się do otrzymanego wezwania, aby je rozkrzewiał, powierzał je różnemi czasy różnym osobom, zachęcając je ze swej strony do działań dla dopięcia zamierzonego przez jenerała Dąbrowskiego celu'.

Toż to z pod sądu samego wezwanie do dalszego apostołowania. A słowo ostatnie nie jest tu bynajmniej komentarzem, wisiało ono na ustach niejednego z ówczesnych: — 'To nasienie nie było przez Dąbrowskiego rzucone na opokę', — przytwierdza i wróży zarazem Szczaniecki.

Wiemy: dojrzewać ono będzie i mnożyć się śród ofiar bez liku przez stulecie potem całe. W Erebie podziemnych zmagań się irredenty polskiej za pierwszego w jej dziejach przywódcę stawał — cień: z grobu już wtedy wywołany cień ostatniego wodza narodu.

W siedem lat jeszcze po jego śmierci pienił się Konstanty przed Prądzyńskim:

'Dąbrowski nie zakończył życia tak, jak na to sprawiedliwie zasługiwał, on powinien był wisieć!'

W legendzie polskiej natomiast Hetmanem Koronnym zwała go, wiemy, wiosną 1812 r. szlachta litewska z Dobrzyna. Niemniej od onych gości Dobrzyńskich w Soplicowie czczono go pod koniec życia i w tej siedzibie ducha polskiego: — na rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia w Warszawie.

Wyjeżdżał Dąbrowski z Warszawy krzepki i czerstwy, — zaświadczają ci, co go wówczas żegnali. Wnet po powrocie do Winnej Góry, wysiadając przed gankiem dworu,ześlizgnął się ze stopnia bryczki i przypadł na kolano; pod wieczór spuchła mu noga cała. Żyły nazbyt w nim skruszałe i serce wyczerpane docna nie przemogły choroby. Wdała się gangrena i nastał koniec. Chronos na kominkowym zegarze doostrzył się swej kosy.

Przed rokiem zaledwie zmarł w Solurze szwajcarskiej Kościuszko. Oficerowie polscy, opuszczający Paryż przed czterema laty (w r. 1814), składali mu oczywiście czołobitności pożegnalne. Niebardzo przypominał już sobie nawet podkomendnych niegdyś mu bliskich. Z ręką w trąbkę przy uchu wykrzykiwał tylko nader głośno: Aha! aha! I uśmiechał się dobrotliwie. — Wyjeżdżaliśmy przygnębieni takiem postarzeniem się Jego, — powiada któryś z tych oficerów. — Głęboko znieufniały do Napoleona po zamachu 18 Brumaire'a, znienawidził go wręcz Kościuszko za zatratę Legjonów i za San Domingo; wiemy, w jak uporczywej rezerwie doń trwał wbrew późniejszemu entuzjazmowi Polski całej. Złudzenia swe natomiast co do Aleksandra (o których pisało się w poprzednich kartach) zachował bodaj do ostatka, jak świadczy choćby owa składka 1000 franków, przesłana przezeń na koszta doraźnego wzniesienia na Placu Trzech Krzyży bramy tryumfalnej dla wjeżdżającego po raz pierwszy do Warszawy cesarza i 'króla'. Osobiście zachował i wobec Aleksandra rezerwę niemałą. Na kilkakrotne nalegania cara, by powrócił do kraju objąć bliżej nie określo-

ne dowództwo nad armją Królestwa, odpowiadał Kościuszko odmownie. — 'Jakąbym ja tam figurę robił przy Konstantym w Warszawie!' — otrząsał się wobec przyjaciół.

Żałobne nabożeństwo, odprawione w Kościele Św. Krzyża u symbolicznej trumny Kościuszki, stało się oficjalną uroczystością 'obu wojsk narodów bratnich' oraz nową okazją do 'wybaczenia sobie uraz wzajemnych'. Działo się to w przytomności elity Rosjan z Nowosilcowem na czele. Aleksander nakazał jak największą tolerancję w one dni żałoby. Zezwolono nawet, by u tej trumny pożegnał byłego wodza swego jego bohaterski niegdyś towarzysz z pod Maciejowic. Między zmarłym a żywym stanęło niestety inne obecnie rozumienie wskazań dla żywych: Niemcewicz pozostanie do końca dni swoich 'nieubłaganym wrogiem Moskali'. Przemawiając w tych okolicznościach i przed takiem audytorjum, wywiązał się poeta z swego zadania nader powściągliwie i również oficjalnie.

Nie inny był po roku i pogrzeb Dąbrowskiego, tyleż w kościołku Winnogóry, co w analogicznem do kościuszkowskiego nabożeństwie w kate-

drze poznańskiej. Przybył na nie namiestnik tamtego zaboru ks. Antoni Radziwiłł z małżonką z domu Hohenzollernów, a wraz z nimi przedstawiciele wojskowości pruskiej. Oddawano hołd 'wielkiemu wojownikowi', który omylił się w swych rachubach na Napoleona.

Nastała pora ostatecznego zmierzchu wodzów polskich.

Cienie ich obu odrywały się jakgdyby od swej ojczyzny w wyższe regjony Ludzkości pod tron Istoty Najwyższej. Kosmopolityczny duch masoństwa przyczyniał się wtedy niemało do sankcjonowania rozbiorów wolą Opatrzności.

Poza rodziną, której żałobę zagłuszają całkowicie dzwony pogrzebów wielkich, znalazł się człowiek jeden, który wydzierał wręcz ciało zmarłego z pod egzekwij ludzi obcych a wrogich. I z mgławicowego uścisku Ludzkości. — 'Pochowałem go w mundurze Legjonów, tak jak sobie tego życzył', — zapisze pułkownik Szczaniecki. I doda:

— 'Kazałem zabalsamować zwłoki w tem przekonaniu, iż raz przyjdzie ten czas, w którym oceniając zasługi tego męża, przeniosą go do grobow-

ców krakowskich i tam obok Kościuszki postawią jego drogie szczątki. Starania, jakie pod tym względem robiłem, z n a l a z ł y o p ó r’.

— ’Nawet sława jest pełna melancholji po domostwach (dosłownie: chatach) polskich’, — powiada pewien mądry Anglik ówczesny (prorosyjski zresztą i walczący w r. 31 w ich szeregach).

Jakże mogło być inaczej, gdy po śmierci wodzów naród, pozostawiony sobie, będzie sam dźwigał nadal ciężkie przeznaczenie swe, najcięższe po chatach właśnie — jak to zawsze n a o s t a t e k.

III

— 'Dwie były władze w kraju — powiada jeden z najwybitniejszych ludzi za Królestwa, — fizyczna: Konstantego w Belwederze i moralna: Niemcewicza na mieście'.

Bohater z pod Maciejowic, Kościuszki i Waszyngtona przyjaciel, został po powrocie z Ameryki obwołany — ponad głową Woronicza i nieco zaskakująco dla samego siebie — poetą naczelnym, co przyjął oczywiście z czasem jako trybut mu należny. Bardziej zastanawia niezadługie wystawienie go na świeczniku społeczności jako jej ducha wyraz najwyższy. Wielbiciele poety obdarzyli go lapidarnym określnikiem: Człowiek-Polska. Była to zresztą późna przerzutnia własnych słów Niemcewicza o Dąbrowskim.

Lecz sama możliwość takiego rykoszetu w opinji publicznej mówi bardzo wiele. Na progu do-

by bezhetmańskiej, bezpośrednio po śmierci ostatniego wodza przeszła buława w ręce poetów najpowszechniej uznanych — wieszczów, mówić się będzie niezadługo. Ich władza niefizyczna będzie już tylko największem wywyższeniem w moralnej hierarchji rozbitego narodu. Duchową dynastję tych reprezentantów i kierowników opinji polskiej rozpoczął Niemcewicz. Jego autorytet narodowy był bezpośrednią puścizną po Dąbrowskim.

Pod schyłek dni swoich stał się były wódz Legjonów — widzieliśmy — kamieniem probierczym charakterów i sumień, także i śród tych ludzi, którzy jakąkolwiek drogą wysuwali się na stanowiska kierownicze w Królestwie. Tę cząstkę dziedzictwa po nim objął stary Niemcewicz rzetelnie: stał się nietylko postrachem, lecz jedynym już wtedy powściągiem tych 'wolontarjuszów nikczemności', którzy gotowi byli każdej chwili przefrymarczyć interes publiczny dla swej ambicji lub zysków. Powie o nich Staszic, że 'miedzianem czołem błyszczą śród praw'. A osiągnął poeta naczelny posłuch napozór jeszcze powszechniejszy od Dąbrowskiego lub Staszica: — 'Co on

pochwalił, było chwalone, co on potępił, potępiali wszyscy'.

A przecież ten nie wybraniec już, lecz namaszczeniec opinji był raczej 'żywą pamiątką' dziejów rozbiorowych niźli w przyszłość drogowskazem. Stanie się nim Staszic. Były zaś poseł inflancki na Sejm Wielki, Konstytucji 3 Maja bojownik w sejmie i teatrze, a wrychle wojak kilkodniowy w stroju salonowym (pod Maciejowicami), zaczem więzień i długoletni emigrant polityczny, za Królestwa wreszcie senatu sekretarz, nie rodził się mimo wszystko do polityki, lecz do poezji. Stąd jego wpływ i znaczenie zarówno w czasach Sejmu Wielkiego jak i za Królestwa.

Muzę Niemcewicza wymierzył czas surowiej niźli każdą inną, bo konfrontacją za życia z szeregiem nietylko talentów, lecz i genjuszy pokolenia młodego. W tem zestawieniu oddala on się tak od wrażliwości dzisiejszej i tak nam maleje w oczach, jakgdybyśmy spoglądali nań przez odwrotną stronę lornetki.

Należy wejść w bezpośrednie promieniowanie jego indywidualności bądź co bądź niepospolitej. aby zrozumieć, jakim cudem pisarz o średnim na-

ogół talencie zdołał tak wygórować nad pokolenie swe. Więc próba wejrzenia w te żywe oczy rozumieniem i sentymentem jego współcześników wydaje się i tu — jak na wszystkich kartach poprzednich — drogą jedyną. Spróbujmy odtworzyć sobie na niej tę osobliwość w dziejach kultury: — 'dyktaturę' poety.

I 'despotyzm' jego ponadto w sprawowaniu tej władzy iście nadrzędnej — bo moralnej już tylko — w ramach polsko-rosyjskiej państwowości Królestwa Kongresowego.

Śród odętych i jak pawie wtedy strojnych ministrów, radców stanu oraz jenerałów obu narodów rozlegał się na assamblach nieznośny dla nich dyszkantowy chichot osobnika przysadzistego, pod obfitą wiechą włosów siwych, w puklach falistych. Owem skrzypieniem śmiechu swego zwykł on wtórować własnym konceptom i przycinkom, sam niemi najbardziej uweselony. Z całego aspektu, zachowania się i tupetu nie kto inny — odgady-

wali dygnitarze — tylko literat postarzały. Działał on tym panom tembardziej na nerwy, że uważały go tak wielce damy po salonach, mimo że jego wierszyki, kursujące w odpisach po mieście, doskwierały nawet osobom na najwyższych stanowiskach państwowych. Obyczaj nie pozwalał się obrażać na Niemcewicza 'bajeczki', choć ich aluzje a d p e r s o n a m jawne były dla wszystkich, nie wyłączając wielkiego księcia.

Miał Konstanty przez swych szpiegów 'najdokładniejsze sprawozdania o każdem słowie i wierszu Niemcewicza, nie oszczędzającym nieraz samego Cesarzewicza'. Ulegając i w tej sprawie, jak i w wielu innych, obyczajom warszawskim, próbował nie obrażać się i on, acz nie zawsze mu się to udawało: — 'Powiedzcie Niemcewiczowi, że jak raz siedział w więzieniu petersburskiem, tak może się w niem znaleźć po raz drugi'. — Lecz były to tylko krótkotrwałe wybuchy podrażnienia. Katarzyna za podobne paszkwile w formie bajeczek chciała niegdyś zgnoić ich autora w więzieniu. Carewicz czuł się naogół wyższy nad sekretne domyślniki pamfletów, krążących po mieście. Zlekceważył wkońcu te błahe dlań

gryzmoły literackie; miał ważniejsze papiery na biurku. Zadowalał się roztaczaniem nad owym literatem tem czujniejszej opieki policyjnej.

Nie przeszkadzało mu bynajmniej za przygodnem spotkaniem w teatrze Bogusławskiego ująć Niemcewicza łaskawie pod ramię i, promenując z nim po parkiecie, opowiadać mu o.. wysokich zaletach swej żony. Aura teatru i wiew kobiecości ze sceny w takie widać usposobienie wprowadziły Cesarzewicza; poeci zaś bywają nietylko dla kobiet skarbonkami wynurzeń sentymentalnych.

Wchodząc dwornie w temat, jął pochlebca złośliwy wysławiać wielki takt, łagodność i niewyczerpaną dobroć księżny łowickiej, którą znał z jej czasów panieńskich. Małżonek nie wyczuł kolca dla siebie w tym bukiecie komplementów dla żony. Podawał go bowiem nietylko wytrawny niegdyś światowiec, lecz i autor dramatyczny, którego poniosła widać wena, skoro w. książę chwycił go naostatek w objęcia: — 'Masz rację, — wołał (tykać zwykł Konstanty każdego, do kogo raczył zwracać się po polsku) — masz rację, to anioł nie kobieta!'

Raz jeden tylko meldował się Niemcewicz w Belwederze. Uczynił to jako prezes Towarzystwa Królewskiego (Przyj. Nauk), by zgłosić protest przeciw zamiarowi ocenzurowania jego mowy, jaką miał wygłosić podczas uroczystego odsłonięcia posągu Kopernika na Krakowskiem Przedmieściu. Ku niemałemu stropieniu petenta bruljon jego mowy znalazł się już cudownym sposobem na biurku w. księcia, który z ołówkiem czerwonym w ręku sam oto cenzurował w tej chwili zamierzone przemówienie. W poetę wstąpiła hardość.

— Nad całą uroczystością — wycedził cierpko — czuwać będzie tak czy owak 'niepokalany' pan Nowosilcow...

W. książę sponsowiał natychmiast i, huknąwszy pięścią w stół, zerwał się z fotela.

— 'Cóż to ma znaczyć ten nowy znów twój persiflage?! Vous n'aimez pas Monsieur Novosiltzoff? — doskakiwał doń. — Czy nie wiesz, że jest to mąż stanu, który oddał największe usługi państwu rosyjskiemu?... Powiadomię cesarza o twojem zuchwalstwie'.

Bąknąwszy jakąś tam ekskuzę francuską, wy-

cofał się prezes niemal z pod kułaka wielkoksiążęcego. I przerażał się coraz bardziej tą myślą, ile gorzkiego piwa nawarzył sobie oraz instytucji swej. Niezadługo mógł zapisać w Pamiętniku: — 'W. książę żałował swego uniesienia i kazał mi to powiedzieć'.

Bez jakiegokolwiek wtrącania się władz rosyjskich i cenzury, bez zwykłego nawet myszkowania szpiegów odbyła się ta uroczystość dla wszystkich wzniosła, na której 'Uranja wzywała Kopernika do świątyni sławy'— jak to opiewał na miejscu drugi z głośnych poetów onego czasu.

Dzień był dżdżysty, ołowiany; z chwilą opadnięcia zasłony przed pomnikiem rozdarły się chmury i złota glorja słoneczna uderzyła wprost w Kopernika. Z tym reflektorem słonecznym nie było może akuratnie tak, jak to przedstawiają widzowie naoczni, a wielcy wtedy miłośnicy sceny. Bądź co bądź rymopis znamienity, a ówczesnego teatru dyrektor, Osiński, zapomniał widać dodać w swym wierszu arcyklasycznym w floresach stylu łacińskiego, że córka Zeusa i Mnemozyny, a muza astronomji, zaświadczyła Uranja Warszawie przychylność całego Olimpu.

Było to raczej smętne rozstanie się bóstw antycznych z tem osędziałem już mocno pokoleniem polskiego Klasycyzmu. Rok, w którym odbyła się owa uroczystość — 1830 — wyznaczy niezadługo i tym rymopisom kres gwałtowny.

Tymczasem gospodarze ulicznego festynu, uczeni z Towarzystwa Królewskiego, postanowili uświęcić ten dzień wspólnym bankietem w hotelu na Tłomackiem. Zjawił się na nim niespodzianie sam Nowosilcow, z rozkazu carewicza niewątpliwie, i wzniósł toast... na cześć Niemcewicza. — 'Należenie Nowosilcowa do naszej uczty składkowej nie może nam się w głowach pomieścić!'— zdumiewa się i oburza któryś z biesiadników. Uczeni nie wzięli widać pod rozważenie, że księżna łowicka jako Polka musiała podlegać sugestji choćby tylko tych słów: poeta naczelny, a cóż dopiero, gdy mąż powtórzył jej niewątpliwie zachwyty Niemcewicza nad nią.

Nie był zresztą ów literat i w. księciu całkowicie obojętnym człowiekiem. Nosił on przecie na palcu sygnet Pawłowy, ofiarowany mu niegdyś przez tamtego cara, gdy z kazamat Petropawłowska oswobadzał go wraz z Kościuszką. Dla Kon-

stantego, który nienawidził samego wspomnienia swej babki Katarzyny, czcił natomiast pamięć ojca, stał się ów pierścień na ręku Niemcewicza jakgdyby odziedziczonym nakazem immunitetu dla niego.

Potwierdzać to mógł jedynie stosunek carów następnych do osoby Niemcewicza. Aleksander upodobał sobie już dawniej, w Puławach, dowcip i dworność tego kawalera europejskiego, mającego szerokie koneksje na dworach francuskim i angielskim, a zczasem i śród najznakomitszych osobistości Ameryki. Nawet car późniejszy, Mikołaj, raczył powitać go na Zamku ukomplementowaniem sztywnem: 'Znam Pana już oddawna — z renomy'. Jakoż ta renoma sięgała i dworu rosyjskiego przez poetę rosyjskiego Żukowskiego, wychowawcę Aleksandra II. Ten ostatni zaś, za koronacji Mikołaja w Warszawie młodzieniaszek jeszcze, występujący w mundurze polskim i dość poprawnie mówiący po polsku, upierał się, by do Wilanowa na pokazanie prastarych topoli Sobieskiego zawiózł go nie kto inny, tylko koniecznie pan Ursyn-Niemcewicz.

Jakże to nie miało dezorjentować polskich i ro-

syjskich dygnitarzy w Warszawie, te właśnie *bêtes fauves* polowań satyrycznych bajkopisarza!

Muza satyr politycznych jest chyba córką Chronosa i którejś z Danaid — by i tu wysłowić się 'klasycznie', — jest ona bądź co bądź córką czasu i cenzury, utrudzającej się równie daremnie.

Pośpieszne pióro Niemcewicza dostarczało Warszawie doraźnych odwetów złośliwości nad wszelkimi piastunami władzy ówczesnej, a solą atycką była w tem nader często sama niecenzuralność owych ulotek. Rzadko kiedy zdarzało mu się w pasji zaciekłej wystawić taką maszkarę czasów swoich, jak w wierszu na Zajączka. Posmak szczególny nadaje owej satyrze ta okoliczność, że mimo zadawnionej antypatji do tego ex-rewolucjonisty i jakobina, zaczem wzbogaconego karjerowicza napoleońskiego, a wnet potem sługi carskiego, utrzymywał czas jakiś Niemcewicz zażyłe stosunki z domem namiestnikostwa. Sprawiły to zapewne późne wdzięki i francuska zalotność pa-

ni namiestnikowej. Po gwałtownej raz sprzeczce z jej mężem (znów o Nowosilcowa) trzasnął drzwiami w pałacu namiestnikowskim, a niezadługo puścił w obieg najzjadliwszą z satyr swoich.

Ten osobliwy poeta pisał nietylko bezkarne paszkwile na najwyższe władze w kraju, ale w tychże władz siedzibie trzaskał jeszcze drzwiami. Lecz któryż z dygnitarzy ówczesnych mógł nie pamiętać o jego renomie u carów, o pobłażliwych dlań względach w. księcia, o powszechnem uwielbieniu go przez rodaków?

W tej nietykalności na wszystkie strony stał się — kapryśny dokuczliwiec dla tylu wtedy ludzi — świętym słoniem Warszawy.

Ta szczególna beatyfikacja na szczytach powodzenia literackiego splatała jednak dość chude wieńce dla naczelnego poety. Ceniono go i kochano nadewszystko za to... że go lubili wszyscy. Lecz taka jest logika popularności.

Ulegają jej najbardziej, jak wiadomo, kobiety,

które też 'rozpieszczały go do niepodobieństwa'. Można temu łatwo uwierzyć, gdy się czyta łzawą emfazę panny Tańskiej (późniejszej arcymatrony Hoffmanowej), gdy po raz pierwszy zetknęła się z 'Tym, kogo od dziecka kochać mnie uczono', — wynurza się w swej powieści autobiograficznej.

Dalej idące dam awanse stawały się niekiedy mocno kłopotliwe w jego wieku podeszłym. Trudnoż mu było tłumaczyć się każdej na kanapie, że... 'jest już jedną nogą w grobie'. O tych westchnieniach jego kokieterji starczej wspomina każdy niemal, kto się z nim stykał.

W obliczu człowieka żywego odpaść musi nadewszystko ów patos konwencjonalny, jaki za osądem Czartoryskiego i Skarbka przylgnął do osoby Niemcewicza w historji literatury. Był on rzekomo nietylko uosobieniem najlepszych cech szlachetczyzny ówczesnej, lecz i 'godnego obyczaju przodków'. Dwukrotny, ciągnący się latami pobyt w Ameryce, poślubiona tam żona Amerykanka, cała wreszcie familja tej wdowy, wszystko to musiało go odchylić od zwyczajów rodzimych.

Obcowanie zaś z Waszyngtonem i jego ludźmi odszlachcić go mogło i w myśleniu.

Świadek naoczny, wiarogodny choćby naiwnością swej relacji, młodociany Słowacki tym razem, opowiada o nim historyjkę bynajmniej nie budującą cnym obyczajem przodków: — Niemcewicz, gawędząc z gośćmi, zabawiał się równocześnie z dwiema córeczkami fornala swego, które trzymał na kolanach. Przekomarzały się one z nim w sposób bardziej niż poufały: — 'Pan jest taki sam głupi jak i ja' — parowała widać starsza z nich przymówkę do swego nierozumku. Ubawiony tem do łez, kazał pan 'starszej dziewczynce pocałować siebie w twarz'. — 'Ktoś ty jest?' — pytał naostatek. — 'Panowa żona'.

Wielce swojska, jeśli kto chce koniecznie, jest w tem wszystkiem chyba owa bosonóżka z swą przekorną zaczepnością uśmiechów białozębnych. Igraszki natomiast pana samego: to publiczne afiszowanie pieszczot — z córeczką fornala — wzbudziłyby osłupienie w każdym dworku polskim. Obyczaje Niemcewicza odbiegły bardzo od kanonów swojskich.

I ku temu jedynie przytacza się tę opowiastkę,

jedną z nader licznych, jakie krążyły o nim wtedy — a przytrafiały się i anegdoty sprośne. Jest w czem wybierać. Pamiętnikarstwo onej doby było wybitnie plotkarskie, za niemałem przyczynianiem się kobiet. Są i dziś ludzie, którzy z szczególnem upodobaniem spoglądają na czasy minione jakgdyby przez wonny wachlarz jakowejś piękności staroświeckiej, z poza którego przeszłość wszelka widzieć się może niczem menuet zabawny. Można i tak.

Tylko że salony za Królestwa były dalekie od przebrzmiałych już dawno powabów rokokowych. Przeważała w nich raczej urzędnicza oschłość i sztywność 'całej Warszawy' — czyli całej biurokracji wyższej, ze zwykłą do niej przymieszką ziemian na urzędach, półpanków odętych i kilku mądrych arystokratów. A były to ośrodki nietylko literackiej sławy Niemcewicza, lecz wrychle i politycznej na inną już niezadługo — Warszawę całą.

Wiew teatru tchnął wszędy od tego autora dramatycznego, zwłaszcza od jego występów pu-

blicznych. Nie czyniła go takim jakakolwiek poza nabyta, lecz wrażliwość poety, błąkającego się po Forum; nie rozróżniał sceny od tej areny: jednakowo biły mu na nich serca ludzkie.

Gdy za Powstania na wspólnem posiedzeniu izb obu chciano go obrać senatorem, uchylał się jak mógł i od tego zgwałcenia. Zastawiał się przedewszystkiem swem ubóstwem:

— 'Mam wszystkiego 20 morgów, za które płacę podatku złotych 48!'

Nie była to replika oratorska, lecz chwyt dramatyczny: w kontraście do wysokiego tonu tych tuzów zamożnych wystawiał się za skromnego człowieka trosk powszednich. A że odzew na ławach prawodawców okazał się zgoła inny niż w teatrze, że zaległa cisza okrzepła, więc uderzył w ton tej żałości:

— 'Uwielbionej pamięci król saski (a książę warszawski), powierzając mi w 50 roku życia mego miejsce sekretarza senatu, pragnął, by stało się ono dla mnie miejscem odpoczynku... Lecz brzemię lat 74 już na mnie ciąży, już osłabiony umysł mój... Skoro przy Boskiej pomocy nastanie po-

kój, złożę nawet piastowany urząd sekretarza. I wstąpię wtedy do otwartego dla mnie grobu...'

Nie obliczył mówca rezonansu tej rzewności nad sobą w chłodnej sali parlamentu.

— 'Niemcewiczu! — odpowiadano mu twardo, jakby ściągając go właśnie ze sceny na arenę publiczną, — przyzwyczajonyś być posłusznym zawsze woli narodu. Nie materjalnego zajęcia miejsca żądamy od Ciebie (przymówiono mu tak ubocznie do owej synekury saskiej), lecz chcemy, abyś się stał zaszczytem i ozdobą naszego senatu'.

Wdzięczny kandydat dziękował, rozrzewniał się do łez, dzień ten za najszczęśliwszy w swem życiu obwieszczał, a wymigiwał się wciąż. I nie dogadano się z nim.

Taka była instynktowna rezerwa starego poety nad swym grobem otwartym przed 'zaszczytami i ozdobami' mężów polityki.

Wołał być jedną z ukrytych sprężyn przeżywanych dziejów, niźli ich pionem lub choćby tuzem wystawnym. Świadczą o tem jego Pamiętniki, ukrywające nader skromnie własny jego współudział w zdarzeniach wielkich. Niemałą wymowę

ma i to oświadczenie z kół poselskich: — 'W najtrudniejszych sprawach radzono się Niemcewicza i głosowano (w sejmie lub senacie) za jego wskazaniem'.

Tenże starzec, wystawiający się publicznie za człowieka zniedołężniałego o stępiałym umyśle, podejmie niezadługo trud, wymagający ostrej czujności władz umysłowych. Obarczono go misją nieoficjalnego agenta rządu powstańczego na Anglję, pragnąc skorzystać z jego znajomości języka i licznych stosunków w wyższych sferach tamecznych. Wywiązał się z tych zleceń sprawnie i z jak największem poświęceniem, — zaświadcza Czartoryski. A jeśli dyplomacja jego nie była tak skromna, jakby to nakazywały tragiczne chwile dogasającej już niezadługo rewolucji polskiej, sprawił to gwałtowny przypływ jego energji i temperamentu. Trzaskał drzwiami u dygnitarzy angielskich, jak niedawno w pałacu namiestnikowskim; tyle, że satyr nie pisywał, choć materjału i tam nie brakło, sądząc z ówczesnych listów jego.

A gdy waliły się w gruzy wszystkie nadzieje publiczne, a zachwiały fortuny i dole osobiste, gdy nie wiedział, z czego mu przyjdzie żyć nieza-

długo, będzie się zrywał o świcie, by pośpieszać na tak wczesne w Londynie wykłady jakoweś z umiłowanej przezeń botaniki lub 'modnej' wtedy chemji.

Tak niestrawiona była żywotność tego starca.

Niezmiernie pracowity przy równie nieustannej rozpierzchliwości umysłu zebrał też i odpowiednią wiedzę: literacką. Rzutki dyletantyzm jego bez konsekwencji zamierzeń przyczynił się niemało do postaszicowego schyłku T o w a r z y s t w a K r ó l e w s k i e g o.

Po śmierci Staszica kandydatura jego, jako najpopularniejszego w Polsce człowieka, narzucała się sama przez się. W bruljonie zachowanym dziękuje — kandydat tymczasem — za wybór... jednomyślny (bo jakżeż mogło być inaczej!). W tymże bruljonie po zwrotach bardziej krasomówczych nastaje długi wielokropek na domniemaną przerwę z powodu przewidywanych aplauzów. Żaden aktor chyba nie uczy się swej roli pod aspektami takich przewidywań.

Za jego prezesury nad n a u k ę wygórowały u m i e j ę t n o ś c i (wonczas rozróżniano te pojęcia): gorliwa a nader ofiarna praca inżynierów oraz przedstawicieli wiedzy wojskowej, co nie było napewno zasługą Niemcewicza. W bliskim natomiast jego sercu wydziale literatury panował marazm przy upartem odymaniu się pychy nieustępliwej — jak to w Akademjach atakowanych. Dufność owych starców udzielić się musiała i prezesowi, skoro w zwykłem, trzyletniem sprawozdaniu (ostatniem przed Powstaniem) zajął takie stanowisko wobec poezji romantycznej: — 'Zbyt zażarta walka między dawną i teraźniejszą szkołą wkładać zdawała się powinność zdanie w tem n a s z e wynurzyć'. — Ta dostojność aż po p l u r a l i s m a j e s t a t i c u s była bardzo spóźniona. I nader nie licująca z poczciwą osobą naczelnego poety, który, idąc tu za innym rymotwórcą, chciał naostatek zacnie i polubownie doradzić wszystkim w Polsce poetom, by... 'łączyli obu szkół zalety, wygładzając wady'. Orędzie bardzo akademickie.

Uczonych i rymotwórców drażniła niekiedy ruchliwość ich senjora: kręcił się nieustannie jak fry-

ga, do każdego miał jakiś interes na papierku czy do ucha, i to na posiedzeniach uroczystych przy asyście publiki, gdy powinien był przewodniczyć z całą pompą. Kobiety i publiczność zachwycała ta właśnie ruchliwość starca oraz jego niefrasobliwość także i w obliczu przytomnych na posiedzeniu dostojników państwowych. Złośliwcy poważni natomiast przylepiali mu za tę niesforność łatki karykaturalne, przekazane w ich wspominkach.

W sympatji kobiet i publiczności tkwiła jednakże cząstka racji przekornej. Pedantów nigdzie nie brak, ludzi żywotnych wszędzie mało. Nie mogły zaś wiedzieć panie i publika, że żywotność zewnętrzna bywa jak dogasanie świecy. Do postaszicowego dogasania Towarzystwa przyczyniło się nadewszystko to, że wytlał już docna duch polskiego Oświecenia. Płomykiem jego ostatnim był Niemcewicz: nie świecił już, lecz wybłyskiwał i przygasał.

Nie inny był plon (rękopiśmienny już tylko)

jego prac własnych w ostatnich latach przedpowstaniowych.

Sławę, wiemy, zdobył przez popularność, jak to bywa, za swe utwory najsłabsze, gdy wiele jego pism cenniejszych, a nadewszystko wymowniejszych dla czasów Królestwa, spoczęło w rękopiśmiennych schówkach jego rodzimego Skokowa na Litwie, Warszawy, Krakowa, Paryża, a jak się ostatnio okazało, i Ameryki. Mimo okadzania go nad wszelką miarę przez rodaków, nie był to arywista sławy literackiej: miał w stosunku do pism swoich iście pańską niedbałość. Do wykrętnego nakłaniania pióra ku wymogom cenzury, jak tego żądał odeń namiestnik, nakłonić się nie raczył; w czasach największego właśnie rozgłosu imienia swego wolał płody swe składać do szuflady. Szukać drugiego.

Z dzieł jego za życia ogłoszonych najgłośniejsze i najsłabsze zarazem są, wiadomo, Śpiewy Historyczne. Czyż trzeba przypominać tu po raz drugi wpływ tej 'katarynki' na Mickiewicza, później na Sienkiewicza, ostatnio na Żeromskiego? A każdy z nich przyznawał się z pełni serca do oddziaływania onych Śpiewów na wrażliwość le-

dwie ockniętej wyobraźni swej. Są to sprawy dziecięce i matczynego nucenia. — 'Vom Mütterlein — powie i Goethe — hab' ich die Lust zum Fabulieren'. — Ten poryw do późniejszego chwytania za lutnię przelewał się w one dzieci polskie z wątłej lutni Niemcewicza. I z czegoś więcej, bo z tchnienia jego osobowości: — 'Od matek naszych przywykliśmy słyszeć opowiadania jego czynów i przygód' — powie Mickiewicz.

Czemże wobec tego są nasze dziś wybredzania krytyczne?

Zatrzymanie się dłuższe na jego cechach arcyludzkich było tu nieuniknione, przerosły one bowiem w oczach jego współcześników całą wartość pisarza, czyniąc zeń 'bożyszcze' popularności, czyli 'narodu', inaczej: ulubieńca i atrakcję tych sfer, które uważały się wtedy za naród.

Lecz pora wreszcie spojrzeć nań od jego chwil samotnych: od całej gamy zasobów wewnętrznych, powierzanych wtedy pismom, które ogłaszane być nie mogły. Nie przewidywał, oczywiście, że tak wiele z nich czekać będzie na wydanie za granicami Królestwa lat dziesiątki po jego

śmierci. I że garść ich duża zawieruszy się po dziś dzień, jak się rzekło, od Litwy po Amerykę.

Lecz właśnie te pisma zawieruszone pozwalają dopiero zrozumieć późniejsze zachowanie się jego aż po owe dni grozy dziejowej roku 30, gdy bożyszcze salonów, uczłowieczone samotnością, sięgnie aż po moralne wództwo nad narodem. Byłoż tak istotnie? Nastało.

Na cztery lata przed Powstaniem omierził sobie wreszcie ów salonowo-biurokratyczny, polityczno-plotkarski młyn życia warszawskiego, w którym nie rozpraszał się już, lecz rozpylał wręcz na plotki o sobie. Koniec końców przeniósł się z Warszawy do nabytej uprzednio 'resztówki', jak powiedzielibyśmy dziś: do ośrodka rozprzedawanych włości. Od przydomka swego U r s y n o w e m nazwał tę 'ustroń' zaciszną. Dawniej zwała się ta siedziba podwarszawska: Rozkosz.

Cała girlanda rokokowych rozkoszy pańskich wieńczy dookoła żałosne ubóstwo Warszawy późniejszej. Ze wszystkich okolic podmiejskich szczerzą się ku nam po dziś trupie uśmiechy dawnego j o i e - d e - v i v r e z nazw takich osiedli

jak Miłosna, Radość, Rozkosz, lub z pobliskich a zgruba spolszczonych Faworów czy Mokotowa (M o n C o t e a u), i jak tam zwano te niegdyś jaśniepańskie 'przybytki Muz', gdzie muzy wysłużne kwieciły łoża Erosowi. Te ptasiego życia beztroskie gołębniki podzieliły zczasem los kraju całego: brud, smród i żydostwo wtargnęły w dawne 'ś w i ą t y n i e K a l i p s y'.

Tymczasem była to ledwie opuszczona świątynia cudzych rozkoszy w opulencji zażywnej. Świadczył o nich pałac, który obciążał raczej, niźli zdobił tę szczególną siedzibę poety. 'Co pióro zarobiło', wkładać musiał chcąc nie chcąc także i w podtrzymywanie onych murów. — Po co mi te buduary, te salony i plafony, te kolumny i cudze herby! — sarkał po niewczasie — mnie wystarczyłaby chata pod strzechą ('piastowa' oczywiście, jak kazały mówić o strzechach sentymenta onych czasów).

Widywano go tu postacią nie tyle Piasta kołodzieja, co farmera a kwakra: w długim po stopy kitlu płóciennym i w olbrzymim kapeluszu słomkowym. Tak utrudzał się przedewszystkiem koło sadzenia rzadkich drzew i krzewów, spro-

wadzanych niekiedy aż z Filadelfji. W takim też stroju krzątał się i koło ulów, pokryty na owym kitlu, rękach i twarzy nawet 'likiem' pszczół ufnych.

Obraz to nieledwie symboliczny dla onych czasów. W ule pracowite zamieniała się wtedy Warszawa, coraz to bardziej rzemieślnicza i przemysłowa. Narastała warstwa niezależna, gruntująca byt swój na własnej jedynie pracy i zabiegliwości. Garnęła się ona tem ufniej do niepodległego duchem Niemcewicza, im wzgardliwiej zaczęła się odwracać od kapryśnych łask w. księcia i sług jego na urzędach, — bowiem

— *'Pszczoły nie mogą pojmować,*
By nad niemi truteń chciał kiedy panować!'

Nie przedstawiciel to stanowy tradycyjnego wypyszniania się nad ludzi pracy, nie pan to, nie szlachcic nawet wykrzyknął one słowa. I nie on to przypomniał z dumą:

— *'Jam niegdyś przy pługu widział Waszyngtona,*
I sam, póki wiek młody, w polach Ameryki
Nie lękałem się rydla, kosy i motyki'.

Nie 'lenił się' i na późne swe lata tu, pod Warszawą. Polski w nim atawizm umiłowania ziemi własnej sprawił, że stary przywiązał się do tych swoich morgów dwudziestu całą w sobie resztką sił fizycznych. A że na czeladź liczniejszą nad jedynego fornala nie nastarczał Ursynów, więc salonowiec niedawny stawał się nader często wyrobnikiem od rydla i motyki. Prostując nad zagonem grzbiet uznojony, spoglądać musiał nieraz w stronę zachodnią, gdzie pod zachód wyłaniały się zdaleka mury Warszawy: — 'Szczęśliwy, kto ukryty w swej wiejskiej zaciszy, twych bębnów, twych kotłów, twych plotek nie słyszy!' — myślał, ocierając czoło rękawem.

Pod wieczór dopiero, gdy wypadały mu z rąk narzędzia pracy, ogarniało go czucie samotności. A wraz z nią i to dumanie:

— *'Porzuciłem gwar miasta i bębny, i surmy.*
Nie zastąpią mej ścieżki zbrojnych szyków hurmy,
Ani płazy różnemi wstęgami upstrzone'.

Ani wreszcie:

— *'Nieprzeliczone tłumy orężnych próżniaków'.*

Oddalony od względów i urzędów parafjańszczyzny warszawskiej stawał się w Ursynowie magnesem dla młodzieży — tej z literatury i ze spisków, — która teraz dopiero trafiać doń poczynała. Choć przystępu im do się nie bronił, witał ich w pierwszej chwili złym humorem, zazdrosny o zaciszność swej samotni. Nie na to usunął się na ubocze, by wzorem demagogów starych kaptować sobie adherentów i wielbicieli z pośród młodzieży, lecz by zażyć wreszcie z samym sobą wyłącznie i z przyrodą jedynie.

Gdy po znojnym dniu farmera snuł się błędnie po ścieżkach swej zagrody, nic mu tych dumań w Ursynowie nie przerywa,

— *'Chyba ponsowe jabłko lub brunatna śliwa,*
Lecąc z gałęzi, ciężko o ziemię uderzy',

albo ta jaskółka piskliwa — *'co w powietrzach ukośnie się ciska, goniąc chmury owadów'*, lub niezadługo pod mrok —*'nocna muszka, rozwiódłszy swe skrzydła świecące, latający diament miga się po łące'*.

Niech to wystarczy. Po katarynkowych rymach Śpiewów Historycznych zaskakuje tu wręcz zwię-

zła plastyka i sugestywna rytmika w odtwarzaniu ciszy wieczornej, — widzi się ją i słyszy. Choć w czarce skromnej jest to v i n u m v e r u m poezji.

Niedawny miłośnik rozgwaru towarzyskiego zatrzymał się nieraz za dnia — aluzją mimowolną — u kurnika na folwarku. Szczególną przyjemność sprawiało bajkopisarzowi obcowanie z swem ptactwem domowem.

— Ot, kaczki! — zamyślał się Litwin: — 'w ich postaci nie znajdziesz przyjemności snadnej: w kochaniu gruby zapał, zalotności żadnej; ciemna zarozumiałość, duma bez powagi, zamiast męstwa zajadłość i złość bez odwagi'.

Alegoryczność tej bajeczki w stronę ówczesnej biurokracji narzuca się również snadnie. Podkreśla to mocno ten kontrast: — 'Patrz kogucik! Ledwie grzbiet mu się zrumieni, już się wielkim rycerzem, bohaterem mieni. Nie zna kochania, a już nie cierpi rywala:

— *'Na jego widok srogim gniewem się zapala,*
Podnosi się maleńki, obces się porywa,
Walczy mężnie, zwycięża i tryumf swój śpiewa'.

— 'Przeciwnie kaczki: gdy je w błocie co rozdąsa, siedzą i jedna drugą w łeb powoli kąsa'. — Tak mu się widziały w samotności obecnej dygnitarstwa i dostojeństwa warszawskie — także literackie, a więc i własne.

Porzućmy tu jednak wszelkie alegorje bajeczki zwierzęcej.

Toż ów kogucik ursynowski śmiało mógłby zapiać u stóp Zosinych! Czy nie mógłby on przypadkiem wyśpiewać swój tryumf i na późniejszych kartach „Pana Tadeusza"?... Nie jest to chyba herezja zbyt wielka. Ucho i oko Litwina wyczuwa się wyraźnie i w Niemcewiczowem umiłowaniu przyrody żywej. Z uroków tejże ziemi, co później Mickiewicz, wchłonął on za młodu pokrewne widzenie świata.

Żywił Mickiewicz na emigracji dla starszego pobratymca przyjaźń z litewska rubaszną, gotową przyjacielowi właśnie wypalić prawdę o nim prosto w oczy, choć dla głębokiej jego wartości czło-

wieczej i heroicznego przebiegu jego życia zachował do ostatka cześć rzetelną, skojarzoną, jak się rzekło, z opowieściami matki. A przecież: — 'Niedbalec!' żachnął się na całą twórczość swego poprzednika. Surowo karcił młody starego. Któż bo lepiej od tego młodego wyczuć mógł marnotrawstwo Niemcewiczowego ducha, ocierającego się nieraz o genjalność, by wraz ją przegawędzić z tabakierą w garści lub, co gorsza: przemleć bylejako na pytlu rymów. (Drugi z wielkich przyjaciół Niemcewicza, Adam ks. Czartoryski, powie po jego śmierci równie mądrze jak gorzko: — 'Niepamiętny pierwszego wzruszenia pisał poeta często poniżej przedmiotu'. Obaj oni oddawali jednakże słuszną sprawiedliwość pierwszym wzruszeniom jego inspiracji).

W rozmowach paryskich mogło było zastanowić Mickiewicza między innemi głębokie przywiązanie starego do tej ziemi mazowieckiej, o której mawiał on, że — *'raz w smutki pogrąża i znowu zachwyca'*.

Mickiewicz, wiemy, nie znał smętków i urzeczeń tej ziemi napozór monotonnej, a tak śpiewnej od zatajonej w niej muzyki wraz z czarem pieśni

i barw przedziwnie naszych. Uwieczniać ją przecie będą liry, lutnie i pędzle pokoleń wielu — z Szopenem na czele. Wyprzedził ich wszystkich, acz sentymentem jedynie, stary samotnik ursynowski, który i przed Mickiewiczem mógł się rozrzewniać do łez nad niezapomnianemi 'widokami'... Wilanowa, Służewa, Szop i Czerniakowa. (Wszystko staje się piękne, ku czemu zwraca się tęsknota poetów).

Po wschodniej stronie swej samotni miewał stary zgoła inne widoki: — 'błyszczące szczyty' Warszawy, tak oną dobą gorączkowo przebudowywanej i ozdobionej nowemi gmachami na przyszłą, jak marzono, stolicę zjednoczonych ziem Polski całej.

Tych marzeń nie podzielał starczy pesymizm Niemcewicza. W rękopisie ursynowskim znajduje się taka oto inwokacja do pobliskich murów Warszawy. (Czyżby znów za rozpęd do nienapisanego poematu? za pierwsze jedynie wzruszenie inspiracji?):

— *'Pamiątko mnogich zdarzeń,* **dziś w całej ozdobie**
Wszystkich nadziei naszych pobielany grobie!'...

Genjusz Mickiewicza odszkodował nam stokrotnie żałosne strzępy Niemcewiczowych zamierzeń. A nad ziemię mazowiecką, w której jego poprzednik rozkochał się na starość, wywyższył postokroć wspólną ojczyznę ich młodości — Litwę.

Drugi z wieszczów na emigracji znał dobrze ową 'ustroń', za którą litewski pobratymiec Mickiewicza tak wzdychał, bo tęsknił po niej.

— 'Śliczny Ursynów s t a r e g o, zarosły dzikiemi drzewami, bardziej do dzikiego lasu niż do ogrodu podobny. Na małej łączce wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza, dająca mu dwa złote przychodu na tydzień'.

Tak trzeźwo taksował młody romantyk (a wtedy urzędnik skarbowy właśnie) skromne t u s c u l u m klasyka, co rozkochany w tej przyrodzie bujnej i zżyty z nią do głębi, poznał umysłu ciekawością zarówno pochodzenie swojskie lub dalekie, jak i nazwę naukową każdego z tych drzew — 'dla romantyka dzikich'.

Sprowadziła Słowackiego do Ursynowa odwie-

czna pielgrzymka każdego młodego poety do upatrzonego augura, przyczem petent o sławę żywił w głębi duszy nieufność do swego sędziego — że człek to już przebrzmiały. Lecz tak w rzeczach duchowych zahaczają się wszędzie pokolenia. Że u nas bywa i po wielekroć gorzej, zaświadczy niezadługo tenże Słowacki. Tymczasem niezmierną pochwałą Niemcewicza, jego wręcz zachwytem, wsadzony odrazu na wysokiego konia, nie znajduje w liście do matki dość słów wdzięcznego rozrzewnienia nad... staruszkiem. Tak gwałtownie zsędziwiał mu w oczach ambicji młodej.

Ktoby dziś zabłąkał się do Ursynowa, nie znajdzie ni karcza ni korzenia nawet po puszczańskiej tu niegdyś oazie onych drzew dzikich. Opodal szpetnego pałacu w miejscu byłego parku natknie się dziś na zorane kartoflisko, a wypatrując od bruzd odkryje może, niczem archeolog jaki, głęboką zapadlinę gruntu, w niej zaś podmurówkę onej altany, w której tak smętnie bajronizował Słowacki za swego tu pobytu. Gospodarz bowiem kazał mu długo oczekiwać: zalotnością światowca z XVIII wieku przebierał się i stroił bez końca na godne przyjęcie młodocianych gości.

Przygodny towarzysz tej pielgrzymki Słowackiego i altanowych wtedy oczekiwań jego — 'widząc mnie nadzwyczajnie smutnym i bladym (powiada o sobie poeta młody), zagadnął mnie o przyczynę. Szczęśliwy, odparłem, kto może jak Niemcewicz pisać słodko i przyjemnie, nie trawiąc się ogniem własnym. Szczęśliwy, odpocznie w tak cichym oto domku (wskazywał melancholicznie na pałac niedawnej Rozkoszy czyjejś i rozpusty może, który mierzł Niemcewiczowi od pierwszych tu dni). Odpocznie tutaj, gdy nad grobami młodszych od niego dawno już trawa porastać będzie'.

Ta wróżba melancholji zawistnej chybiła, jak wiemy. O lat osiem przeżył Słowacki Niemcewicza, który musiał opuścić na zawsze swój Ursynów już po roku od tej wizyty Słowackiego.

Osoba nieznanego mu młodzieńca wzbudziła w starym conajmniej równe zaciekawienie, jak te sadzone przezeń młode drzewiny w parku, a stąd i równą wrażliwość na jego naturę. Na początku rozmowy pogderał wprawdzie na poezję wileńską, przecież po wysłuchaniu któregoś tam aktu z pierwodramy młodego („Mindowe") — 'stary odwrócił się nagle ku mnie, czoło jego nachmu-

rzyło się: widać było w nim znacznie natężoną uwagę. Patrzał mi odtąd w oczy, jakby mnie chciał całego przeniknąć'.

— 'Cieszę się, — rzekł naostatek — iż widzę przed śmiercią (nie omieszkał westchnąć nad nią i tym razem), że nastaje w Polsce poeta, co ma wielki talent i duch obywatelski utrzyma'.

Duch ten był dla niego ukoronowaniem wszystkich darów natury ludzkiej. Skromniejsze to wiele od szczytnego patrjotyzmu młodych na Syjonie emigracji. Był to zprosta nakaz wewnętrzny natur o wiele mniej skomplikowanych, wciąż jeszcze żołnierskich od czasów Kościuszki i Dąbrowskiego. Przerobienie takich na Wertherów, Hamletów i Manfredów emigracyjnych było oczywistem niepodobieństwem. Można ich było natomiast ogłuszyć tą obczyzną, a pod ich głowami rozpętać całe piekło swarów emigracyjnych.

Nietylko ostatnia katastrofa narodowa przytłumiła tak bardzo Niemcewicza na emigracji. Przyłożył do tego rękę Słowacki.

Zapomniećby się wręcz chciało o pamfletowych w „Kordjanie" wierszach na 'staruszka - sko-

wronka' i 'eunucha', by do tych niewinnych przedrwinek nad starcem 80-letnim! — ze strony młodzieńca o bardzo wątpliwym wigorze cielesnym— ograniczyć owe napastliwości, w dialogach arcyfantazyjnych, a przytem ubocznych i od niechcenia, bo w ideowym teraz ataku Kordjana na Konrada: nieznanego wtedy jeszcze poety na Mickiewicza.

Po kilku latach zaledwie od smętnego bajronizowania w altanie ursynowskiej tak bardzo wywyższyła młodego ambicja, która — wiemy odeń — serce z pod żeber wyżera.

Ursynów skonfiskowany przez rząd rosyjski przy równoczesnem skazaniu Niemcewicza zaocznie na śmierć nabył zczasem jenerał Wincenty Krasiński, by osadzić syna swego w tej ustroni poetyckiej, która miała wtedy jeszcze dla Warszawy jakowyś urok tradycyjny.

Ale genjalnego panicza nie pociągał bynajmniej ten niby patronat staruszkowatego ducha i ocieranie się o smętne kąty jego niegdyś siedziby. Zgrymasił, i w pałacu ursynowskim, tak

kosztownie przebudowanym dlań przez ojca, zamieszkać nie raczył. Wolał tu osadzić swą żonę niekochaną. Sam zaś przekładał pobyt w Paryżu, gdzie niedawno tak nieszczęśliwymi z tęsknoty za krajem czuli się obaj Litwini: młody Mickiewicz i Niemcewicz stary.

Przebudowa pałacu zeszpeciła do reszty te mury skostniałym już klasycyzmem budowli warszawskich, który chylił się naostatek do stylu, rzekłbyś, Paskiewiczowskiego, o czem świadczą po dziś niejedne elewacje w Warszawie i okolicach. Każda władza w każdym czasie wyciska swe znamię na architekturze kraju.

Ostatnie to też piętno na przedrozbiorowej Rozkoszy i na podzisiejszym Ursynowie. Daremnie tu szukać jakiegokolwiek śladu po samotni s t a r e g o. I gdybyż urągliwa dziś maska tych murów przypominała nam wzamian jakiś fragment życia i twórczości trzeciego wieszcza, nietylko zasobną kiesę i smutną żonę Zygmunta Krasińskiego!

Uprzytomnienie sobie późniejszego stosunku Trzech Wieszczów do ich poprzednika za Królestwa było tu wtrętem niezbędnym. W tem późniejszem świetle dopiero ukazuje się dosadniej, ile wątła lutnia Niemcewiczowa miała w sobie strun, na których zagrają dłonie genjalniejsze. Wielki przytem autorytet onych Triarchów emigracyjnych wywodzi się puścizną moralną od samotnika ursynowskiego. Żaden z wielkich poetów późniejszych, nie wyłączając Mickiewicza, nie doznał za życia nawet cząstki tak powszechnego potwierdzenia swego przywództwa duchowego w Polsce, jakie stanie się niezadługo udziałem Niemcewicza.

Tymczasem póki było jego trwania na tym skrawku ziemi mazowieckiej w cieniu stolicy — 'nie na tem zwykł dzień swój zaczynać i kończyć, by (wzorem poetów młodych) kochać, oddychać wonie, z kwiatów nektar sączyć' — jak one muszki diamentowe.

Był jednym z najczujniejszych żórawi owego klucza, co po rychłem zdziesiątkowaniu będzie się musiał porwać do odlotu z kraju. A do ostatka trzymał czatę pod Warszawą iście jak ten żóraw z legendarnym kamieniem czujności w pazurach.

Oddaleniec samotny nietylko wczuwał się nadal całą duszą w 'dzieje czasów swoich', lecz wiedział poprostu o niejednem, co się nie śniło nawet osobom ówczesnego rządu, który zarzucał na wsze strony tak gęste wtedy sieci wywiadów tajnych.

On to powściągnął tych kilku opętańców, którzy podczas koronacji Mikołaja w Warszawie zamierzali wyrżnąć w pień całą rodzinę carską łącznie z kobietami i dziećmi, 'by tym aktem straszliwej sprawiedliwości porwać do boju całą Słowiańszczyznę od Newy po Odrę', (jak majaczył któryś z tych spiskowców), a naród własny, zohydzony przed światem taką rzezią dziejową, wtrącić w otchłań klęsk — rozumiał Niemcewicz.

A bywał on nietylko sumień rozjemcą, jak w onym spisku koronacyjnym, potrafił być i ich sędzią. Jego bajki i satyry, w coraz to liczniejszych ulotkach rozpowszechniane po Warszawie, stawały się w napiętej atmosferze czasów jakgdyby ostatniem ostrzeżeniem pod adresem tych rodaków na wysokich urzędach w administracji i wojsku, co uzurpując sobie sprawowanie żałosnych resztek rządów konstytucyjnych, strącali powszechność całą w tę apatję, która stawała się istną zmorą

onych czasów. — 'Wszystko śpi w Warszawie! — przerażał się w swej samotności — wszystko zamiera pod obuchem cenzury Szaniawskiego'.

Oto na swej bryczce, powożonej przez jedynego w Ursynowie fornala, zjeżdża do Warszawy jakgdyby na lustrację publicznego ducha. Gdzie wtedy nie bywał, czego nie słyszał, czem się nie przejmował do głębi i nie oburzał do pasji nienawistnej, zgoła jak się przed nim wyspowiadał wielki niepokój czasów — wszystko to nietrudno wyobrazić sobie. Odgadnąć też można łatwo, czemu tak rychło omierził sobie ponownie bębny, kotły i plotki Warszawy. Deszcz i szaruga drogi powrotnej podkreślały tylko te doznania. W kapturze burki na bryczce zdał się ukrywać to wszystko, czem za tego pobytu napełnił głowę i serce.

Odpoznał społeczeństwo swe wejrzeniem z głęboko przeżytego samotnictwa. Wrócił do swej wiejskiej zaciszy chmurniejszy niźli kiedykolwiek: budziła się w nim zaciętość Litwina. Knułże co? Starcem już był. A nadewszystko poetą tylko. Więc, gdy 'posępny jak noc siadał pod lipą szeroką', zmagał się przedewszystkiem z sercem własnem.

I zdziwiłby się Słowacki, że uprzedzając lutnię jego na lat kilkanaście, miał w sobie stary z Ursynowa także i zatajone tony „Grobu Agamemnona“. Słabsze były oczywiście i to potęgą poetyckiego wyrazu, ale na Boga, nie struny lutniowe grają temu w uszach, kto wczoraj jeszcze żywą ręką dotykał rozkładu społeczności swojej. I tracił ostatnią wiarę w to wszystko, czem żył dotychczas. W długiem życiu Niemcewicza zwało się to krótko: ojczyzną.

A że zmysł poety i najrozleglejsze pojęcia ściąga widokiem w oczy swoje, więc wejrzenie wciąż jak noc posępne kierował z pod lipy swej w widne na wschodzie 'błyszczące szczyty' — a przyglądał się przecie wczoraj jeszcze onym szczytom i padołom Warszawy, — gdzie

— *'Mierny tylko i chytry uznany jest zdatnym,*
Małe w szkole pacholę jest już szpiegiem płatnym,
Fanatyzm przy Ołtarzach, w szeregach hołota,
Uległość w Trybunałach, po szkołach ciemnota,
Jednem prawem do nagród ze wstydu wyzucie'...

W rękopisie ursynowskim przecinki pośpieszne

zaledwie oddzielają te zdania, z których każde jest wykrzyknikiem zgrozy. A przedsię nie Warszawę jedynie winić w tem 'z e j ś c i u z d r o g i c y w i l i z a c j i z a c h o d n i e j'. Sprawili to ci wszyscy, którzy 'w d u s z ę n a r o d u w s z c z e p i a j ą M o s k a l a'. W tamtą też stronę kierowała się po staremu i onej chwili rozpaczliwość wraz z tem zaklęciem pomsty -- 'by z naszych kości stanął Chrobry drugi, albo Batory z potężnem ramieniem *nad tych dzikich Kałmyków ohydnem plemieniem!'*

Patrjarchą zaciekłych wrogości politycznych, nietylko do Moskali i Żydów, lecz i tych, któremi wkońcu Polacy wzajem trawić się będą: tak próbowano upamiętnić jego rysy za głęboko austryjackich czasów Krakowa. Trzebaż było w kaznodziejstwie nad literaturą zatracić chyba poczucie waloru i mocy słowa, by starego z Ursynowa określić aż takim epitetem: — 'a p o s t o ł n i e n a w i ś c i'. Ktoby z królewiaków zawierzał wciąż jeszcze tym słowom pokutnym z za austryjackiego niegdyś kordonu, ten gotów i dziś nawet ujrzeć go takim opodal Warszawy.

Spojrzeć, jawi się tam w szczerem polu pośrodku onego kartofliska, gdzie niegdyś w gąszczy parkowej była altana ambitnych trawień się Słowackiego i gdzie stały ule gospodarskie. Widać zdaleka biały kitel farmera, a pod skrzydłem olbrzymiego kapelusza, niczem pod kręgiem aureoli białej, doramienną siwiznę tego starca, którego postać całą pokrywają likiem pszczół roje. Sito bartnicze i krzywy nóż ogrodnika wypadły mu z rąk, które prężą się wgórę kułakami klątwy — za studzien zatrucie.

Oto źródło jego nienawiści! Mógłże inaczej odczuwać ten, co 'niegdyś przy pługu widział Waszyngtona'?

Nad wytrzebiony dziś park, nad szpetny pałac opodal, nad zapomnianą samotnię poety wyrasta i olbrzymieje ten zwid w biały posąg apostoła nienawiści. Takim zjawić się może wyobraźni i dziś, gdy wczesnym rankiem pod mgły powstające z ziemi spojrzy kto przypadkiem w ursynowską stronę od Wilanowa, Służewa, Szop lub Czerniakowa.

Spiskowcy ze szkoły Podchorążych, 'trwając w niepewności, — przyznaje Wysocki — czy naród uzna to przedsięwzięcie wojska', postanowili zwrócić się do świecznika społeczności polskiej. Odbył Piotr Wysocki pielgrzymkę do Ursynowa śladem Słowackiego, choć w zgoła innym celu, a krytym krokiem konspiratora, mimo że był w mundurze wojskowym. Nie zajechał przed dwór, lecz niespodzianie zastąpił staremu ścieżkę jego dumań wieczornych. Ta postać biała w ciemnej gąszczy parku mogła się widzieć żołnierzowi mnichem u przedsieni klasztornych. Bo też prawdziwie jak przed mnichem chylił się niebawem do jego ucha z całą żarliwością spowiednego słowa, oczekując od niego rozgrzeszenia jakgdyby w imieniu społeczeństwa polskiego. On zaś

przypatrywał się niewątpliwie i temu młodzieńcowi, by go 'całego przeniknąć'. Nie ambicja trawiąca żłobiła się chmurnie na tem czole; tchnęło od człowieka głębokim spokojem determinacji, utwierdzonej przysięgą.

— 'Niemcewicz z rozrzewnieniem pochwalił nasze dobre chęci, — mógł Wysocki powiadomić swych towarzyszy — zapalając chęci i wolę naszą do usiłowań dalszych. Powiedział tylko: teraz jeszcze nie pora, ale nadejdzie pożądana chwila'.

Gdy młody w zaległej tymczasem ciemności przepadł mu nagle z przed oczu, jakby zapadając się zpowrotem w swe podziemia spiskowe, stary powlókł się ciężkim krokiem ku ławie pod lipą szeroką. Niezadługo ujrzał po stronie wschodniej, nad Warszawą, chmurę od nocy ciemniejszą, po której przebiegały błyskawice krótkie, a bez pogrzmotu: zda się duchy burzy idącej zwoływały się w tej ciszy znakami tajnemi. I zdjął go lęk o Warszawę, o kraj cały, o wszystkich ludzi tej ziemi. Przyszło wnet i stropienie: może powinien był i tym razem powściągnąć to szaleństwo nowe?...

Był nieuniknienie zmienny w swej wrażliwości poety, jak oni wszyscy: dawni czy dzisiejsi. On bo nie nadawał się do przysięgi między te duchy, co rozpętywały burzę.

Nie ogrodnikiem, czerwiem u zagonów, którego zetrze chwila, czuł się dni następnych. Idzie nawałnica, co wniwecz obróci wszystkie trudy ludzkie; wyrwie go też ona z umiłowanego Ursynowa jak drzewo z korzeniem.

Każde narzędzie pracy wypada mu z rąk, owisają ramiona bezczynne.

Po kilku tygodniach takiej udręki ogarnęły go znagła jakoweś zwidzenia w obrazach tak natłoczonych, jak to bywa w czas gorączki, kiedy żaden wysiłek tych majaków wyobraźni nie zgoni, nie rozjaśni ich w sobie. Aż z tego natłoku przywidzeń wynurzyła się raptem ta pewność przeczucia, że tego właśnie wieczora już się tam wszystko wszczęło.

Choć było już pod noc, każe zaprzęgać i pośpiesza czemprędzej do Warszawy. A trzęsąc się na bryce łzawi się stary z oczu szeroko otwartych pod wichurą jesienną. W gorączce onej chwili przeżywa raz jeszcze Maciejowice.

Ledwie minął rogatki, słyszy z dali wystrzały bezładne, to znów gruchot salwy raz po raz. Mija bryczkę jego luźna gromada żołnierska i wrzaśnie mu w uszy: — 'Do broni!' — Kazał przystanąć i zgramolił się z siedzenia na to wezwanie, lecz ani karabina nie otrzymał, ani owych żołnierzy już nie ujrzał; popędzili dalej. Pustka i ciemność zalega na Nowym Świecie, wiatr tylko poświstuje u węgłów. Wygasłe okna patrzą ślepo w ulice; gdzieniegdzie przylega do szyby twarz wylękniona. Ludzie chowają się po bramach, lub przebiegają chyłkiem pod murami.

Przy skręcie z Krakowskiego w ulicę Kozią koń spłoszył się nagle i cofnął brykę aż pod mur. W obfitej kałuży krwi nurza się na brukach trup jenerała polskiego niemylnie. W głębi ulicy Trębackiej pędzi z turkotem wielce rozgłośnym ciężka kareta wojskowa; poniosły najwyraźniej jej konie. Na placu przed Pocztą ani śladu bitwy lub jakiegokolwiek starcia; w pochwie tkwi szabla poległego. Więc wywleczonego z karety?... Początkowo była to widać rozmowa, czy też perswazje jakoweś, skoro pałasz jego nie w ręku; a potem w sprzeczce nagłej — bagnetem w serce. Na ulicy

Senatorskiej widok podobny, na który nie miał już sił patrzeć. Słyszy tylko znów te okrzyki: 'Do broni!' oraz czyjeś przekleństwa miotane.

— Więc tak się to zaczęło? — wstrząsnęło nim wskroś: — od swoich?! Ku temuż to zapalał młode chęci?...

Z jednego tylko nie zdawał sobie sprawy literat. Że była to upolowana w końcu zwierzyna także jego własnych satyr i bajeczek: że co pióro zaczęło, tak się kończy z wybuchem rewolucji.

Całą tę noc bezsenną tłukł się jak po klatce po izbach swej gospody warszawskiej, rozmyślając nad tem, jakby powściągnąć mściwy szał największych zapaleńców śród młodzieży powstańczej. (Jakoż niezadługo 'jemu to po wielkiej części jenerałowie polscy, uważani za stronników moskiewskich, winni będą życie' — przyzna ktoś najbardziej tych rzeczy świadomy). Tymczasem młodzieży onej nie potrzebował odszukiwać na mieście: tejże nocy zwiedziała się ona o jego przyby-

ciu i nie zwlekając pośpieszała doń; nazajutrz rankiem już ich mieszkanie pomieścić nie mogło. Lecz gdy się od tych młodych odgrodził teraz uwziętością, z niepowstrzymaną już siłą wybuchnął mu z serca starczy pesymizm:

— 'Powiedziałem prawdę szaleńcom, którzy wciąż oblegają mieszkanie moje w dzień i w nocy: Nie radziliście się mnie, zanim wszczęliście szaloną rewolucję (czyżby ktoś odważał się zaprzeczyć pomrukiem?), więc dajcie mi teraz pokój. I lećcie w przepaść!'

Powiedziane to było niewątpliwie odpowiednim tonem i z równie desperackim gestem. Autor dramatyczny niepotrzebnie uderzał w dzwon tragedji, która w nadmiarze wszczynała się sama.

— 'Tak może mówić tylko zdrajca!' — przygwoździł Mochnacki tę spóźnioną zmianę jego zapatrywań.

Stary rzucił się w stronę smarkacza. — 'Tomasz, karabelę!' — huknie, rzekłbyś, na dom cały jak (antycypując tu) tamten drugi czcigodnik litewski. Ale ohyda doznanej zniewagi omroczyła go wręcz: zachwiał się, opadł na krzesło i ku naj-

wyższemu przerażeniu wszystkich wybuchnął łkaniem.

Lecz ten właśnie moment starczej słabości u wielbionego bohatera Maciejowic targnął najtkliwszym nerwem owej popularności sentymentalnej, jaką go darzono. Młodzież odwróciła się gwałtownie od Mochnackiego. I to wszystka, bo z wojskową na czele.

A przybył do tego i powód drugi. Wtargnął niebawem Mochnacki i do Chłopickiego, by temu najbardziej zasłużonemu z żyjących wodzów legjonowych zarzucić — jedni mówią znów zdradę, inni tchórzostwo: — że nie działa tak raptownie, jakby sobie tego życzył nieznany mu młodzieniec (z byłych urzędników cenzury, — mógłby podszepnąć ktoś wysłużny). Zelżony jenerał wmiast sięgnąć wręcz po pistolet lub kazać poprostu aresztować opętańca, wpadł z gniewu w szał apoplektyczny, dostał jakowegoś udaru i 'omal życia nie stracił'. (Mochnacki na emigracji będzie to spędzał na sprzeczkę Chłopickiego z Krukowieckim, pragnąc się tem oczyścić z druzgocącego potępienia go w opinji dni onych). W mieszkaniu Chłopickiego na Krakowskiem wywieszono u któ-

regoś okna czarną i zieloną zasłonę na znak czyjejś agonji.

Dziwna to analogja do zachowania się Niemcewicza, tyle że tragiczniejsza tą makabryczną kotarą w oknie śródmieścia. Lecz ta właśnie wywieszka świadczy o niepojętym wtedy pociągu do eksponowania uczuć niepowściąganych, gdy chwila dziejowa wymagała od osobistości czołowych czegoś wręcz przeciwnego. Niezadługo popisze się podobnie i Wysocki. A byli to ludzie, ku którym zwracały się oczekiwania powszechne nazajutrz po wybuchu rewolucji listopadowej.

Jej głowacz, Lelewel, zajął z chwilą, gdy krew przelewać się poczynała, stanowisko... uczonego. Z jakąż pasją wypowiedzą mu to na emigracji równocześnie niemal, acz z przeciwnych krańców osądu, Niemcewicz i Mochnacki! A tego to właśnie męża uczonego 'chciano mieć na czele ludu', wyznaje rozczarowany Mochnacki. 'Koronny Lelewel!' — witał go, jak wiemy, Mickiewicz na ka-

tedrze uniwersytetu wileńskiego. 'Mazura Lelewla' opiewali inni, acz Löllhöffle pisali się ojce za króla Stanisława. — Był to Mazur tem bardziej osobliwy, że obdarzony przyrodzoną pasją do dialektyki filozoficznej, którą to plemię polskie bynajmniej nie słynie. Okazał się profesor nietylko mężem uczonym, lecz i niedościgłym kazuistą, głęboko przeświadczonym, że nieodpartemi argumentami logiki podsyca najskuteczniej żarliwość rewolucyjną młodzieży, wojska i ludu.

Zawiedziony Mochnacki ma mu naostatek do zarzucenia całkowity 'brak inspiracji na ruchomej scenie'.

Jemu bo tej inspiracji nie brakło. Wcielony czyn rewolucyjny, 'dopadłszy konia', przelatywał miasto z krańca w kraniec, by zachęcać chwiejne jeszcze pułki wojska polskiego do atakowania w boju ulicznym oddziałów rosyjskich. Ten cywil cwałujący konno w płaskim cylinderku i w rozwianym płaszczu czarnym, a miną, gestem i słowem wystawiający się ponad dowódców pułkowych, zdumiewał lud, dezorjentował wojsko. W tę krzętność gorączkową wpędzało go także i zacie-

kłe tropienie kontrrewolucjonistów. To słówko magiczne wypłynęło i wtedy wraz z pierwszą krwią.

Spotkawszy na Lesznie podchorążych pod dowództwem Wysockiego, jął ich przynaglać, by pośpieszali co tchu do Banku, zgładzić najgroźniejszego kontrrewolucjonistę, ministra Lubeckiego. W płomiennej przemowie z konia zagrzewał żołnierzy ów Czarny Jeździec rewolucji do takiego załatwienia się z Lubeckim, — 'by mózg jego prysnął pod sklepienie bankowe n a z r e f l e k t o w a n i e m ó z g ó w i n n y c h'.

Sam 'Twórca Powstania', a więc i wojny polsko-rosyjskiej, podporucznik Wysocki był w przeciwieństwie do mózgów oficerem 'o nauce prawie żadnej, naturalnej bystrości w nim mało, a mocnego, rozległego pojęcia o rzeczy nic a nic': tak dosadnie scharakteryzował najbliższego towarzysza ze spisku tenże Mochnacki. 'Była to zresztą — przyznaje — prawa, uczciwa dusza polska'.

Ta właśnie prawość ubogiego ducha sprawiła, że Wysocki na mordercze podjudzanie Mochnackiego znalazł wtedy na Lesznie odpowiedź niewątpliwie najrzetelniejszą w poczuciu własnem, która mimo to razić nas dziś musi gestem nieco z teatru:

klęka oto na bruku ulicznym przed frontem swych podchorążych i przysięga z ramieniem wzniesionem: — 'Nie inaczej jak po moim trupie pójdziecie do Banku!'

Ludzie prostotliwi skłonniejsi są bardziej od innych do afektacji w odruchach głęboko wstrząśniętego sumienia — nie inspiracji scenicznej.

Po mieście rozeszła się tymczasem wieść mylna, że Chłopicki dogorywa. Kupy ludu i luźnego żołnierstwa przewalały się przez ulice, wznosząc na Mochnackiego pogrozy złowrogie. — 'Pospólstwo w kilku miejscach zaczęło stawiać na mnie szubienice, żołnierze rozsiekać mnie chcieli' — zapisze Mochnacki na emigracji.

Mniejsza tu o prawdziwość tej opowieści o szubienicach warszawskich nazajutrz po Nocy Listopadowej. To pewna, że na emigracji nie żałowano sobie wzajem szubienic moralnych. Negatywne wizerunki współspiskowców, jakie pozostawił Mochnacki, są przygnębiające w lapidarności swej. Przed samą śmiercią doczeka się i on potępienia, również od współspiskowca, i to nie byle jakiego, bo od Nabielaka samego.

'Jedynym człowiekiem, który mógł zatrzymać ten niepowściągniony pęd zdań namiętnych i zażartych posądzeń, był szanowany i wielbiony od wszystkich Niemcewicz' — powiada z głęboką wiarą Czartoryski. Po niezadługiej śmierci Niemcewicza okazało się, że ten sędziwiec najczcigodniejszy pracował pilnie nad najbardziej zażartym pamfletem onej doby: nad paszkwilową powieścią o Lelewelu (zresztą również rękopiśmienną po dziś dzień).

A przecież tamci najbardziej znienawidzeni, a kilkodniowi zaledwie, przywódcy nie byli urodzonymi prowodyrami. I nie febra rewolucyjna dni grudniowych 30 r. zapisze ich imiona w dziejach kultury polskiej. Czyż trzeba przypominać dziś komu olbrzymią wiedzę i niemniejszy plon pracowitego żywota Lelewela? Lub to, że świetny styl Mochnackiego odnowił wręcz prozę polską, ugruntował nowoczesną u nas krytykę i w opinji kół szerszych wywalczył ostateczne zwycięstwo poezji romantycznej?

Tymczasem szczuły nieszczęsnego rozpętane przezeń furje romantyki życiowej. Wysadzony z siodła rewolucji na samym jej początku, wpadł

w przerażenie bez granic, jak się to przytrafia hazardzistom jego pokroju, bardziej imaginacyjnym, niźli odważnym. Gwardja Akademicka już oto obstawiła strażą mieszkanie jego na ulicy Długiej, a lotnemi oddziałami tropiła go wszędy, by z miejsca oddać go pod sąd wojenny. Nie cwałował już teraz po mieście jak przed kilku dniami, lecz owinięty w płaszcz swój czarny i z nastawionym kołnierzem dla ukrycia twarzy pomykał się pod murami, nie wiedząc, gdzie się ukryć. Raz wystawiała mu gorączka tropiący go oddział żołnierzy, to znów pościg podjudzonego nań tłumu. I. jak się rzekło, widział już w urojeniu rzekome szubienice stawiane dla niego. Straciwszy głowę ostatecznie, wpadł w popłochu... do ministra Lubeckiego. Z wielkopańskim gestem pogardliwości tajonej nie odmówiono mu schronienia. Pod oknami burzył się ich wróg wspólny już teraz: pospólstwo.

Stąd niezadługo wymiana zdań przy wzajemnem zafrapowaniu wysoką inteligencją obu rozmówców. I wysnuł się najosobliwszy dyskurs polityczny: członka rządu z swym niedoszłym mor-

dercą, który tylko dzięki prawości Wysockiego nie ubroczył rąk w jego krwi.

Rozmowa taka!... To pospólstwo, od wczoraj zaledwie wolne, a już rwące się jakoby do szubienic!... To reflektowanie terrorem mózgów narodu!...

Młodzież, która wszczęła Powstanie, nie rozważyła zawczasu sprawy przejęcia władzy, nie obmyśliła wprzódy — powtórzyć by i tu: — nic a nic. Nazajutrz po wybuchu Nocy Listopadowej nie wola czyja rządziła wojskiem i narodem, lecz bezrząd potworny.

Ocknął się w nim, jako jeden z pierwszych ratowników z tego zamętu, przybysz z Ursynowa. I jak mu się to potylekroć przytrafiało w życiu, przetarł oczy poety, by zbudzić w sobie zmysł rzeczy publicznej. Zrozumiał, że skoro wojna z Rosją jest nieunikniona, wchodzą tu w rachubę te trzy jedynie poręki siły i ładu: wódz, żołnierz i lud

stołeczny. Nie potrzebował długo czekać na dość cudowne po agonji ozdrowienie Chłopickiego.

Najdzielniejszy z polowych dowódców w byłych Legjonach Dąbrowskiego, kamiennie wytrwały do ostatka i napół niemy w polityce wszelkiej, jak przystało jenerałowi z pierwszej zawsze linji bojowej, stał się Chłopicki na starość nadąsany i zirytowany na wszystkich, nie wyłączając ojczyzny ('Nawet butów mi nie dała', powie przecie). Z paradnego wojska Konstantego w Królestwie usunął się na samym początku i nie chciał mieć z niem nic do czynienia. Całkowicie bezczynny, uległ mocno grasującemu wtedy śród wojskowych nałogowi karciarstwa. Ów wojak, od którego pachniało prochem bardziej niż od wszystkich jego współcześników, stał się na starość bywalcem salonów i zalotnikiem śród dam wysoko urodzonych. — 'Wiele próżnował, ksiąg wojskowych nigdy nie czytywał' — powie o nim jeden z najświatlejszych jenerałów onej doby.

Sprawę Powstania ujmował on ze stanowiska fachowego: — 'Dajcie mi sto tysięcy gotowego żołnierza, wtedy pomówimy'. — A że tej liczby pod ręką nie było, więc nie decydował się na obję-

cie dowództwa, a raczej ociągał się i dąsał wciąż. Wystąpienie Mochnackiego i doznane na zdrowiu, trwałe jakoby, skutki tej injurji nie mogły mu być zachętą. Na perswazje dawnego przyjaciela i adjutanta Kościuszki nie pozostał jednakże obojętny. Burczał wprawdzie, pohukiwał i gromił, ale wobec zaklęć na wszystkie bogi i obfitych wkońcu łez czcigodnego starca Achilles uległ.

Zdecydował się wkońcu Chłopicki ostatecznie na przyjęcie naczelnego dowództwa wraz z dyktaturą, co w zamęcie dni onych przyjęto jako rękojmię 'zbawienia Ojczyzny'.

Tej nadziei nie podzielał całkowicie Niemcewicz sam, oscylujący wciąż między wczorajszym zachwytem nad człowiekiem a jutrzejszem rozczarowaniem — jak to śród literatów. Gdy pod naciskiem opinji i przyjaciół zdecydował się wstąpić do Rządu Tymczasowego, wszczęły się na ulicach radosne tym razem manifestacje tłumów w wiwatach nieustannych na cześć poety. Zachęcano się do tych okrzyków pogwarami:

— 'Kiedy tam jest Niemcewicz, wszystko pójdzie dobrze'.

Tak więc ten najosobliwszy z poetów ustanowił

pośrednio i naczelne dowództwo, i dyktaturę, i zaufanie ludu do rządu. A 'bez ufności niema mocy!' — rzekł lapidarnie premjer ówczesny (Czartoryski). Poeta tworzył moc. — Iluzoryczną, powie każdy, kto zna przebieg choćby kilku tygodni następnych. Iluzja i tu.

Lecz czegoż chcieć więcej od ustawodawcy z Parnasu?

A ku niemu to właśnie kierowała się najżarliwsza wdzięczność opinji publicznej, żądnej zawsze fetysza raczej niźli wodza. Po owych wiwatach ulicznych potwierdzi to kwiat młodzieży ówczesnej. Studenci wszystkich szkół wyższych, zaciągnięci już w szeregi Gwardji Akademickiej, a oburzeni wciąż nie pokaranem zuchwalstwem Mochnackiego, wydali z koszar pod adresem Niemcewicza taką oto odezwę publiczną, podpisaną przez wszystkich dowódców kompanij tego pułku:

— 'Okropna wiadomość przeraziła młodzież akademicką, przejętą czcią i przywiązaniem najczystszem do Ciebie, pomniku starej polskiej ojczyzny, świadku i uczestniku sławnych i opłakanych jej dziejów! — Zuchwałość jednego zapaleńca, u-

derzonego przekleństwem współrodaków, nie zdołała zetrzeć z Twego czoła świętych znamion błogosławieństwa Waszyngtona i Kościuszki... Nasz wzorze i chwało!... Nadziejo naszej przyszłości! (egzaltowała się młodzież coraz wyżej)... Ojcze Narodu! (nie zawahano się wykrzyknąć) my Twej obrazy nigdy opłakiwać nie przestaniemy'.

Ta istna erupcja opłakiwań, fontanna łez na wszystkie strony, i to w pierwszych dniach ferworu zbrojnego, świadczy wymownie, że w uczuciowości ludzi ówczesnych zamarła ostatecznie klasyczność niedawna.

Wysunięty popularnością na czoło pokolenia, wieszczolatrją młodzieży 'kanonizowany na Parnasie' (jak mu to powie w żywe oczy Mickiewicz), został naostatek okrzyknięty w Warszawie nadzieją naszej przyszłości i ojcem narodu — ten pierwszy wódz doby bezhetmańskiej.

Platon nie obwołałby takiego wcieleniem ducha Rzeczypospolitej. I nie uwieńczyłby hermy jego na Agorze.

ERRATA

Str. 131 ostatni wiersz od dołu, zamiast „nie lękałem się" powinno być „nie leniłem się".

Str. 141 wiersz siódmy od dołu zamiast „pod ich głowami" powinno być ;„ponad ich głowami".

WACŁAWA BERENTA

OPOWIEŚCI BIOGRAFICZNE

NURT

T. I LUDZIE STARODAWNI

T. II POGROBOWCY

Str. 121 i 3 nl + 307 i 5 nl. Cena zł. 11

W dalszym ciągu *Pogrobowców:*

DIOGENES W KONTUSZU

Str. 279 i 5 nl. Cena zł. 8.

oraz:

ZMIERZCH WODZÓW

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

DIOGENES W KONTUSZU

Z GŁOSÓW KRYTYKI:

...Jedno z najgłębszych dzieł naszej literatury współczesnej, które zrodziło się z serdecznej troski o pomyślność narodu, z wielkiego umiłowania dóbr duchowych i z chęci pouczenia społeczeństwa o niezbędnej potrzebie ich utrzymania i dalszej uprawy.

KAZIMIERZ CZACHOWSKI
(Czas)

...Zagłębiając się z pasją w epokę (stanisławowską — przyp. r.), wydobywa Berent zapomnianych lub niedocenianych „odnowicieli" narodu, którzy łączyli płomienny patriotyzm z jasnym widzeniem przyczyn upadku państwa i doradzoli odważnie radykalne środki ratunku.

„Diogenes w kontuszu" jest głębokim hołdem wielkiego pisarza dla tragicznego bojownika przeszłości. W epoce, gdy nasze powieści przeładowane są narcyzową autobiografią, ta „opowieść biograficzna", w której każdy wyraz ważony jest na szali piękna i wartości duchowych, staje się dziełem pierwszorzędnego znaczenia.

JAN LORENTOWICZ
(Kurier Poranny)

Ludzie historyczni muszą być dla Berenta tak żywi jak my, dziś żyjący, i dlatego właśnie po drugiej stronie równania znajdujemy dzień dzisiejszy, obecność.

...Tę powieść o żołnierzu, myślicielu, publicyście, uczonym, wreszcie księdzu, słowem o Franciszku Jezierskim, pierwszym piórze Kołłątajowej Kuźnicy, czytamy jak opowieść o kimś dobrze znajomym.

WILAM HORZYCA
(Pion)

...Dla pełni obrazu Berent nie ogranicza się bynajmniej do charakterystyki i opisu samej tylko postaci Jezierskiego i jego dzieła. Za-

nurza go w atmosferze ówczesnego środowiska i czasu. Epoka Stanisława Augusta występuje tu w całej różnorodności i bogactwie swych małoznanych naogół aspektów, które Berent wydobył z pyłu ówczesnych kronik i pamiętników.

MARIAN PIECHAL
(Gazeta Polska)

...To jest dzieło o żywej historii. Cała książka — jak żadna z jej podobnych — autentyczna. Nie tylko przez mistrzowskie opisanie epoki, nie tylko przez autentyczność bohaterów — ale przedewszystkim dzięki atmosferze środowiska, dzięki wspaniale ujętej hierarchji historycznej między poszczególnymi zdarzeniami.

Żeby tak odzwierciadlać właściwości narodu jak on, trzeba być poetą... wielkim.

JERZY PIETRKIEWICZ
(Polska Zbrojna)

...Nigdzie może entuzjazm Berenta nie zżył się tak serdecznie ze wskrzeszonymi przezeń duchami, jak w tej, najnowszej jego książce. Powiedziałbym też — nigdy przedtem artyzm stylistyczny Berenta nie był tak doskonały jak w „Diogenesie w kontuszu".

„Diogenes w kontuszu" jest jedną z tych książek, które orzeźwiają jak żywiczny las napełniony słońcem.

ADAM GRZYMAŁA SIEDLECKI
(Kurier Warszawski)

...Książka Berenta, w której znakomity pisarz, wykazuje tyle wczucia się w epokę i w związek tamtych czasów z naszymi powinna być dzwonem, budzącym uśpionych, drogowskazem dla szukających wyjścia.

A. JORDAN
(Epoka)

...Kilkoma szerokimi liniami opisuje Berent walkę mieszczaństwa warszawskiego ze szlachtą, walkę świata polskiego ze światem obcym, cudzoziemskim. I oto burmistrz czy prezydent Warszawy Dekert, który

dokonał czegoś w rodzaju mieszczańskiej rewolucji, staje przed nami jak żywy.

Umie Berent z niezwykłą oszczędnością słowa... dać przekrój sejmu. teatru, ulicy warszawskiej, tak plastyczny, tak żywy, że przeszłość staje się teraźniejszością.

Wspaniała, bezcenna książka. Mądry, głęboko ludzki, daleki od szukania łatwych sensacyj, rzut oko na przeszłość. Każda karta, każde zdanie pobudza do refleksyj, nasuwa porównania, kształci, uczy, pogłębia wiedzę o Polsce.

JACEK FRUHLING
(Kurier Polski)

...Przezwyciężając czas, sięga Berent z konieczności swoją syntezą i w przyszłość, będącą częścią składową i immanentną każdej teraźniejszości, sięga w nią słowami „autora bezimiennej ręki", który o trudach i wskazaniach współczesnych powiada, że „Siostra to ambicji i matka przyszłości, z której jest wola po narodach".

Tę „wolę po narodach" wyprowadza Berent dla nas z „trudów daremnych" i z testamentu Dąbrowskiego, z iskier „Kuźnicy" z „Zabaw przyjemnych i pożytecznych", z tułaczek wygnańców, z wojażów snobów, nawet z miłosnych listów rozkochanych Włoszek. Pokazuje, jak te wszystkie ważne i nieważne wypadki żyły i działały, jak prądy Zachodu przeobrażały się w kulturę narodową. Ogarnia wszystko: zwycięstwa i klęski, prawdę i pomyłki, to co napełnia nas dumą i to co napełnia nas wstydem, bo to wszystko było „biosem", a dlatego że nim było, dało początek temu, co mamy: życiu dzisiejszemu. To wszystko dało początek tego, co mamy najlepszego, najaktywniejszego, tego, co trzyma w ręku rzecz najważniejszą „wolę po narodach".

I to właśnie jest wielką ideową doniosłością dzieła Berenta, to jest jego olbrzymim ciężarem gatunkowym.

Dzieło Berenta napęczniałe jest od wewnątrz mistyką ducha polskiego, jak drzewo wiosenne krążącymi po nim sokami.

ZOFIA STAROWIEYSKA-MORSTINOWA
(Kurier Poranny)

J. GOJAWICZYNSKA.
Rozmowy z milczeniem

J. IWASZKIEWICZ. Młyn nad Utratą
— Czerwone tarcze
— Panny z Wilka
— Pasje błędomierskie
— Dwa opowiadania

J. KADEN-BANDROWSKI. Czarne skrzydła
— Życie Szopena
— Wspomnienia i nadzieje

JALU KUREK. Grypa szaleje w Naprawie
— Woda wyżej

L. KRUCZKOWSKI. Pawie pióra
— Kordian i Cham
— Sidła

FR. KÖRMENDI. Przygody w Budapeszcie
— 7,15 Via Bodenbach

K. MAKUSZYŃSKI. Kartki z kalendarza

T. MALICKI. Ludzie z gór

F. MAURIAC. Kłębowisko żmij

Z. NAŁKOWSKA. Granica
— Ściany świata

Z. NOWAKOWSKI. Rubikon
— Przylądek Dobrej Nadziei
— Start Edmunda Sulimy
— Błękitna kotwica

J. PARANDOWSKI. Dysk olimpijski

M. RUSINEK. Burza nad brukiem
— Pluton z Dzikiej Łąki

E. SZELBURG-ZAREMBINA.
Wędrówka Joanny
— Ludzie z wosku

K. WIERZYŃSKI. Granice świata

H. WORCELL. Zaklęte rewiry
— Zdarzenia w mroku

ST. ZAHORSKA. Korzenie